PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI XVIII, XIX i XX.



Roznosicielka wody.

TOM IV

obejmujący zeszyty 19—24

CENA zł. 3.

......

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY
w DOMU
KSIĄŻKI POLSKIEJ
Plac Trzech Krzyży
№ 8.
1928 r.

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI
XVIII, XIX i XX.

KONSTANTYNOPOL

i jego życie

(1886 — 1887 r.)

BRACIOM SWOIM
I KOLEGOM
PAMIĘTNIKI TE
I WSPOMNIENIA
MŁODOŚCI
WSPÓLNIE
PRZEBYTEJ
POŚWIĘCA
AUTOR.

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY
w KSIĘGARNI
GEBETHNERA
i WOLFFA
1925 r.

Zeszyt 20.

„Pamiętniki Stanisława Jana Czarnowskiego“, wydawane zeszytami, zawierają wspomnienia z trzech stuleci XVIII, XIX i XX w porządku dziejowym. Zeszyty dotychczas wydane obejmują, prócz dawnych wspomnień rodzinnych (z tabelą genealogiczną) opis lat dziecięcych, czasów szkolnych w Kielcach, uniwersyteckich w Warszawie — działalność oświatową i publicystyczną autora tamże, jego podróże po krajach słowiańskich, na Wschód południowy oraz na Zachód, z mnóstwem szczegółów wielce interesujących o ówczesnych stosunkach pedagogicznych, towarzyskich, społecznych i dziejowych.

Odbito w tłoczni p. f. „St Święcki“ w Kielcach
w małej ilości egzemplarzy.

KONSTANTYNOPOL
i jego życie.

W końcu stycznia 1887 roku dla oświetlenia naszego magazynu już urządzonego, zakupiłem pięć wielkich lamp naftowych wiszących, z dużemi zbiornikami wystarczającemi na długie wieczory zimowe. Zbiorniki miały otwory w pośrodku od samego dna, dla obfitego dopływu powietrza do palników. Otwory te służyły zarazem do gaszenia lamp przez silne dmuchnięcie za pomocą długiej rurki blaszanej, co dokonywał nasz służący zaraz po zamknięciu magazynu wieczorem, Największą lampę błyskawiczną z szerokim daszkiem białym kazałem zawiesić wpośrodku sufitu magazynu na silnym haku. Cztery inne lampy w szafach okien wystawowych. Naftę amerykańską kupowaliśmy w składzie hurtowym na Galacie, w skrzynkach drewnianych, obejmujących po dwie kilkogarncowe blaszanki. Nalewało się naftę do lamp przez kranik mosiężny wśrubowany do blaszanki ustawionej na stole (podobnie jak kurek u samowara) co chroniło od rozlewania.

Na drugi dzień pan Juljan zapełnił wystawy okien. W dwóch wielkich oknach frontowych, przy wejściu głównem od Placu Tunelu, pomieszczone zostały — w jednem zastawy obiadowe: wielkie wazy i wazki, półmiski okrągłe i owalne mniejsze i większe kompotjery i sosjerki, solniczki, serwisy do octu i oliwy, wazony do szampana, patery do ciast, cukrów i owoców, wreszcie sztućce srebrne i platerowane, noże, łyżki i widelce różnych fasonów: paryskie, petersburskie, tureckie, kaukazkie, perskie i in. W drugiem oknie umieszczono zastawy do herbaty i kawy: samowary wielkie i mniejsze gładkie i gilószowane wzorzysto, maszynki parowe do kawy z kloszami, dzbanki i dzbanuszki do mleka i śmietanki, czajniki i wielkie buloary na trójnogach z palnikami spirytusowemi, tace owalne, okrągłe i kwadratowe, cukiernice gładkie i ozdobne wyzłacane wewnątrz, maselnice metalowe i kryształowe klosze na talerzach platerowanych, łyżeczki różnych fasonów, spodki i podstawki do filiżanek i szklanek z hut krajowych Hordliczki i francuzkich kryształów Bacarat.

W dwóch oknach mniejszych, obok drzwi bocznych magazynu od bramy Pasażu Tunelu, pomieszczono — w pierwszem wystawę salonową i biurową: kandelabry stołowe i ścienne,

lichtarze przeróżnych fasonów wysokie i małe, ekrytoary, przyciski, popielniczki i t. p. W drugiem oknie wystawę kościelną: lichtarze i świeczniki wielkie i pomniejsze, kielichy mszalne wyzłacane wewnątrz gładkie i ozdobne, monstrancje, ampułki, lampy wiszące, lampki stojące i t. p.

W szafach wewnętrznych magazynu w tym samym porządku co w oknach ustawiono i ułożono zapasy podręczne towaru, za szybami drzwi oszklonych, co zarówno we dnie jaki przy oświetleniu wieczornem bardzo okazale się przedstawiało.

Podłoga magazynu cała pokryta została linoleum koloru jasno dębowego, wzorzystym, przybitym starannie po brzegach. A w narożniku sali dla zasłonięcia schodów do sutereny, na listwie między szafami zawieszona została szeroka portjera ciemnej barwy. Wykonał ją z własnego materjału tapicer polak osiadły zdawna w Konstantynopolu, p. Kowalski, który przechodząc wstąpił i zapoznał się z nami.

Po dokończeniu tych wszystkich przygotowań udałem się do naszego konsula pana Łagowskiego polaka, który stał naczele Konsulatu ruskiego, złożyć uszanowanie i zawiadomić o urządzeniu naszego magazynu. Konsul przyjął mię łaskawie w swoim gabinecie, przy czem złożyłem mu egzemplarze „Cennika fabryki Frażetowskiej" w językach polskim, ruskim i francuzkim, świetnie ilustrowane. Jednocześnie zameldowałem paszporty mój i mego pomocnika u sekretarza konsulatu. Nadszedł tam właśnie ordynator szpitala ruskiego doktór Ihnatowicz też polak, któremu zostałem przedstawiony i ofiarowałem egzemplarze naszego cennika.

Nazajutrz d. 1 lutego o godzinie 10 rano magazyn nasz otwarty został dla publiczności. Przy jasnej pogodzie słonecznej nasze wystawy w oknach świetnie się przedstawiały, i przyciągały mnóstwo ciekawych. Prócz mnie, pomocnika mego p. Juljana i woźnego Hamparzuma, przybyli mi do pomocy i nadzoru przy sprzedaży: nasi stolarze pan majster Wukasowicz z synem, p. Neumann kasjer Dyrekcji koleji i stróż domu Marko. Pomoc ta okazała się bardzo pożyteczna. Wkrótce bowiem przy ożywionym ruchu na Placu Tunelu, magazyn nasz napełnił się tłumnie. Po dokonaniu szeregu sprzedaży, kazałem służącemu o godzinie 12-ej w południe zamknąć drzwi frontowe magazynu w obawie zbytniego natłoku. Przez drzwi boczne rozeszła się powoli reszta kupujących. Poszliśmy potem do Hotelu peszteńskiego na obiad na który zaprosiłem naszych łaskawych znajomych.

Nazajutrz nasz magazyn został otwarty normalnie o godz. 8-ej rano. Wieczorem z zamykaniem stosowaliśmy się do naszego sąsiada p. Sreatera i innych pobliskich sklepów, które zamykano o godz. 7. W południe ja chodziłem na obiad od godziny 12-ej do 1-ej; następnie mój pomocnik p. Juljan od 1-ej do 2-ej; wreszcie nasz służący Hamparzum od 2 do 3-ciej do swo-

jej stołowni w Stowarzyszeniu armeńskiem. Ja obiadowałem w restauracji Janniego, a najczęściej w „Hotelu peszteńskim" przy Wielkiej ulicy Pery, gdzie mi było najbliżej, gdzie kelnerem był polak, a kuchnia węgiersko-austryjacka podobna była do polskiej. Obok sali głównej w pokoju sąsiednim obiadowali tam urzędnicy pobliskiego konsulatu austryjackiego. Gospodarz węgier Tothfalussy zaglądał tu czasem. Czytelnia hotelowa była zaopatrzona w liczne gazety z wiedeńską „Neue Freie Presse" naczele. Po przejrzeniu dzienników, wracałem do magazynu punktualnie o godzinie 1-ej, aby zwolnić mego pomocnika, który wracał też punktualnie o 2-ej. Wten sposób w magazynie było zawsze dwie osoby, co było niezbędne ze względu na bezpieczeństwo. Jak zwykle bowiem tak i tam zdarzali się natrętni żebracy i włóczędzy, których niezawsze łatwo można było się pozbyć. Zdarzyło się raz późnym wieczorem przed zamknięciem magazynu, że służący nasz zajęty był robotą w suterenie; pomocnik mój p. Juljan, siedząc za swoim pultem niewidoczny, czytał gazetę. Ja przy swoim sumując Księgę kasową, przeliczałem targ dzienny. Przez drzwi boczne po cichutku wszedł włóczęga, i dość natarczywie, po francusku, zażądał wsparcia. Odrzekłem że nie jestem właścicielem magazynu, nie mogę dawać zbyt wiele i położyłem mu na stole franka. Spojrzal i zowołał ostro:

— To zbyt mało. Pan tu jest sam! i przybliżył się.

Momentalnie zawołałem po polsku:

— Panie Juljanie już 7-ma dochodzi, czas zamykać magazyn!

Klasnąłem w dłonie i krzyknąłem:

— Hamparzum!

Pan Juljan zaczął jak zwykle zamykać szafy na klucz. Hamparzum wyszedł z sutereny gasić lampy.

Na ten widok włóczęga szybko umknął za drzwi i więcej się nie pokazał.

Nazajutrz wziąłem z domu mój rewolwer nabity, i schowałem go w swoim pulcie na wierzchu. Przechodząc do magazynu wstąpiłem do pobliskiej pracowni ślusarza p. Senaka, nad którą szyld złocony opiewał, że jej właściciel jest nadwornym majstrem Jego cesarskiej mości Sułtana. Pan Senak, człowiek w średnim wieku, francuz bardzo uprzejmy, ubrany w czarny surdut i fez czerwony, mówił poprawnie po francuzku. Poprosiłem go ze sobą do magazynu, aby wziął miarę dla zrobienia drzwi z blachy żelaznej do sutereny, z zatrzaskiem amerykańskim, otwieranych dogóry. W kilka dni potem p. Senak, z dwoma czeladnikami przyniósł zamówione drzwi gotowe. Przybito zawiasy do futryny drewnianej, założono drzwi, dopasowano zatrzask, wypróbowano i naoliwiono. Rachunek dość umiarkowany, pokwitowany, zapłaciłem. Poleciłem też zrobić zatrzsk mocny udołu rolety blaszanej przy drzwiach frontowych, aby Hamparzum mógł je zamykać od zewnątrz, wychodząc w niedzielę do kościoła i na obiad.

Nad bezpieczeństwem naszego magazynu i wszystkich sklepów sąsiednich, oprócz Marka stróża domu, czuwali przez całą noc, t. j. od wieczora do świtu, tak zwani po turecku „bekdżi“ czyli stróże nocni, ustanowieni też w całym mieście. Jeden taki bekdżi miał do pilnowania kilka lub kilkanaście domów, stosownie do wielkości. Owi stróże nocni chodzili po swoim rewirze, wrazie potrzeby porozumiewali się z sobą i schodzili razem. Na znak, że nie śpią, obowiązani byli każdą godzinę wybijać swemi pałkami o kamienie bruku. Wrazie pożaru najbliższy bekdżi, który go spostrzegł, krzyczał: „Jangen war Galata da“ np.; co znaczy: „Pożar jest na Galacie“. Sąsiedni stróże powtarzali ten okrzyk coraz dalej na wszystkie strony, aż do ostatnich krańców miasta. W ten sposób mieszkańcy dowiadywali się szybko, gdzie się pali, i mogli śpieszyć tam na pomoc swoim krewnym lub znajomym. A pożary w Konstantynopolu bywały olbrzymie. Nieraz setki i tysiące domów gorzało jednego jednego dnia w dzielnicach drewnianych ciasno zabudowanych. Organizacja stróżów nocnych była prywatna, opłacana przez kupców i właścicieli domów. Bekdżi naszego gmachu Pasażu i Placu Tunelu przychodził do nas co miesiąc po swoją zapłatę, oznaczoną przez zarząd tej straży.

Po zwykłyh codziennych sprzedażach pomniejszych, odwiedził nasz magazyn p. Albert nasz gospodarz dyrektor kolei Tunelu, z córką piękną blondynką panienką dorastającą. Zakupił tuzin sztućców stołowych srebrnych t. j. łyżek, widelcy i noży, i polecił wyryć na wszystkich trzonkach napis angielski: „Pamiątka 25-lecia zaślubin“, oraz monogramy inicjałów imion i nazwiska. Po wykonaniu napisu przez naszego grawera i odesłaniu pakietu z rachunkiem pokwitowanym wypłacił całą należność. Wkrótce potem kasjer kolei Tunelu zakupił dła siebie sztućce platerowane.

Następnie odwiedzili nasz skład dwaj polacy p. Łagowski konsul ruski i dr. Ihnatowicz, ordynator szpitala ruskiego, gdzie korzystali z porady i lekarstw bezpłatnych z apteki szpitalnej rodacy nasi zamieszkali w Konstantynopolu i mnóstwo pacjentów wszelkiej narodowości bez różnicy wyznania. Zacny dr Ihnatowicz słynął tam ze swojej dobroczynności. Obszerna poczekalnia szpitala bywała codzień zapełniona tłumnie głównie przez ubogich pacjentów. Krom lekarstw bepłatnych, nasz doktór rozsyłał najbiedniejszym pacjentom obłożnym i rekonwalescentom do mieszkań: chleb, wino i rosół posilny z kuchni szpitalnej.

Do szczególnych osobliwości Konstantynopola należą tamtejsze psy uliczne. Żyją one stadami, po kilkanaście lub kilkadziesiąt razem na jednej ulicy. Każde stado pilnuje swojego terytorjum i nie dopuszcza doń obcych psich sąsiadów. Chodzi bowiem o żer. Panuje tam zwyczaj, że śmieci oraz odpadki kuchenne z każdego mieszkania i domu wyrzucane są póżnym wieczorem na ulicę na kupy. Stado psów miejscowe biegnie

zaraz do stosu śmieci, i wyjada zeń wszystko zdatne do pożywienia, mianowicie kości i t. p. Rano o świcie śmieci z ulic zbierane są do wozów czyli skrzyń jednokonnych, i wywożone na brzeg morski, do starego parowca, który po napełnieniu wiezie je na głębokie morze, i tam wrzuca.

Na Placu Tunelu przed naszym magazynem było też duże stado psów miejscowych, które stale tam wylegiwały. Na czele stada stoi zawsze największy tęgi pies, którego władzy wszystkie podlegają. Maści są przeważnie żółtoszarej z ogonem kiściastym, podobne nieco do wilków. Są to rosłe kundle, jakie według podania pochodzą od psów obozowych wojska tureckiego. które zdobyło Konstantynopol. Od owych czasów mają przywilej przebywania swobodnie na ulicach miasta.

Zdarzyło się, że w lutym wkrótce po otwarciu naszego magazynu, wielka suka z naszego stada oszczeniła się i czworo małych piesków umieściła za płytą kamienną opartą o ścianę Pasażu Tunelu. Tam wskutek zimna małe skomlały we dnie i w nocy, co sprawiało przykrość naszemu gospodarzowi. Kazał więc stróżowi domu przenieść owe szczenięta w koszu opodal pod dworzec kolei Tunelu w zakątek. Wkrótce potem suka, która chciała pokarmić szczeniątka odnalazła je, i w pysku po jednemu przeniosła je wszystkie na dawne miejsce pod płytę. Stróż powtórnie w koszyku odniósł je na Dworzec kolei, aby nie skomlały pod oknami gospodarza. Suka wieczorem po ciemku znów je przeniosła do pierwotnego gniazda. Psiaczki uspokoiły się nieco, bo suka ciągle pilnowała, i postawiła na swojem, że jej dzieci zostawiono w ich dawnej budzie....

Dla szerszego zareklamowania składu naszego rozesłałem powoli według miejscowej Księgi adresowej Cenniki ilustrowane polskie, ruskie i francuskie Fabryki do wszystkich ambasad, konsulatów, urzędów rozlicznych, zakładów szkolnych, pensjonatów, instytucji społecznych, znaczniejszych hoteli, restauracyj, kawiarni i kupców na Perze, Galacie i w Stambule. Także pocztą pod opaskami do stolic krajów sąsiednich: do Bukaresztu, Belgradu, Sredca cz. Sofji, do Aten, Smirny i Aleksandrji do znaczniejszych kupców tamtejszych. Po pewnym czasie zaczęły stamtąd nadchodzić zamówienia. zwykle przez komisjonerów podróżnych.

Raz nawet osobiście przybył do naszego magazynu kupiec grecki z Aten, człowiek młody i energiczny. Wybrał partję sztućców, tace ozdobne i serwisy do kawy platerowane do swojego sklepu ateńskiego, zostawił adres brata swego zamieszkałego w Stambule na bulwarze nadmorskim w pobliżu pierwszego mostu — i prosił aby mu wszystko opakować starannie w jeden duży pakiet i odesłać z rachunkiem według adresu, gdzie należność będzie zapłacona. Wypisałem rachunek i prosiłem aby nam zaraz zapłacił, a pakiet odeszlemy. Objaśnił, że ma jeszcze dużo innych zakupów na mieście do zrobienia i należność

może dopiero wieczorem uiścić w mieszkaniu. Nie chcąc tracić znacznego zakupu zgodziłem się i odrzekłem, że dopiero wieczór po zamknięciu naszego składu o godzinie 7-ej, będzie można pakiet odesłać. Po naradzie z moim pomocnikiem, nie chcąc wysyłać tak cennego i ciężkiego pakietu przez naszego służącego samego, i do tego już ciemnym wieczorem, po starannem zamknięciu magazynu kazałem zawołać dorożkę, obejrzałem jej numer, wsiadłem do niej z p. Juljanem i pakiet poleciłem położyć w nogach. Hamparzumowi kazałem usiąść na koźle obok dorożkarza i uważać aby nas nie zawieziono w jaki zaułek niebezpieczny. Położyłem rękę na rewolwerze w kieszeni bocznej i kazałem jechać według adresu. Przebyliśmy Galatę i most główny oświetlony dobrze. Za mostem naprawo ciągnął się labirynt uliczek ciemnych. Hamparzum znał miasto dobrze i orjentował dokładnie. Niedaleko od mostu w jakimś ciemnym zaułku przy wybrzeżu, kazał zatrzymać się dorożkarzowi, zszedł z kozła i rzekł:

— Monsieur, c'est ici!

Kazałem mu wziąść pakiet, wysiadłem z p. Juljanem i poleciłem dorożkarzowi czekać. Numer domu przy wielkiej bramie był niewyraźny. Cały budynek podobny do śpichrza, miał na parterze tylko małe okienka gęsto zakratowane. Na piętrze świeciło się w jednem oknie też zakratowanem. Moją grubą laską zacząłem kołatać w szeroką bramę, obitą sztabami żelaznemi. Po powtórnem silnem kołataniu i dłuższem oczekiwaniu, usłyszeliśmy wreszcie kroki na schodach i światło w okienkach nad bramą. Zgrzytnął klucz w zamku i otwarła się ciężka brama z łoskotem. Z latarnią w ręku powitał nas klient nasz kupiec w ogromnej izbie, napełnionej skrzyniami, beczkami i workami. Przyjął nasz pakunek, położył go na wielkim stole, rozwiązał, przejrzał zawartość i zaczął wypłacać należność monetą turecką w srebrze wielkiemi medżydjami. Zgarnąłem wszystko w woreczek płócienny, pokwitowałem rachunek i pożegnałem kupca. Ten dziękował, przepraszał za trud nasz i śmiejąc się dodał:

— Dla was cudzoziemców ta nocna wyprawa to coś nadzwyczajnego, ale dla nas tybulców rzecz zwykła. My tu często tak załatwiamy interesy.

Podziękowałem za wyplytę i pożegnałem kupca, życząc mu szczęśliwej podróży morzem. Woreczek z pieniędzmi włożyłem do bocznej kieszeni na piersiach, wsiedliśmy do dorożki i ruszyliśmy z powrotem do mojego mieszkania na Pera przy ulicy Bujuk-Hendek. Zapłaciłem dorożkarza i życzyłem dobrej nocy p. Juljanowi i Hamparzumowi, którzy mieli niedaleko do domu i poszli pieszo.

Po herbacie i przejrzeniu świeżej gazety, położyłem się wcześnie spać, zadowolony że interes załatwiłem szczęśliwie.

Obawiałem się bowiem nieco podstępu możliwego i zajścia niebezpiecznego z jakiemi opryszkami, o co w Stambule nietrudno. Ale wedle przysłowia: Wszystko dobrze co się kończy dobrze.

Na drugi dzień rano wziąłem pieniądze do magazynu, schowałem w szkatułce podręcznej, i zapisałem na przychód w Księdze kasowej. Większe wpływy dzienne gotówki oddawałem na rachunek czekowy do banku Crédit Lyonnais na Galacie. Pensje miesięczne personelu wypłacałem w funtach tureckich złotem (równych funtom sterlingom angielskim wartości około 10 rubli złotych ówczesnych.)

Regularnie co 1-go każdego miesiąca przesyłałem naszej dyrekcji fabryki w Warszawie bilans i sprawozdanie handlowe, z wyciągiem z Księgi kasowej przychodu i rozchodu, oraz inwentarza. Zapasy towaru w miarę wyprzedaży uzupełniane były przez zamówienia, które nadsyłano co pewien czas w miarę potrzeby.

Przy wypłacie komornego miesięcznego za mieszkanie, gospodarz mój p. Kleiner zaprosił mię na bal Stowarzyszenia śpiewackiego, do którego zarządu należał (t. zw. D. Maenner Gesang-Verein). Nazajutrz wieczorem, po kolacji w domu, wstąpiłem o godzinie 7-ej do p. Kleinera do jego mieszkania na parterze, gdzie zastałem już oboje państwa Kl: gotowych do wyjścia. Pani Kl. wzięła też z sobą małą córeczkę kilkoletnią Lizę. Lokal stowarzyszenia był niedaleko na sąsiedniej ulicy, na I piętrze dużego domu jasno oświetlonem. Po zdjęciu palt w szatni, p. Kleiner przedstawił mię w przedpokoju panu sprzedającemu bilety gościom zaproszonym. Po zakupieniu mojego biletu weszliśmy do salonu głównego, gdzie byłem znów przedstawiony kilku panom i paniom. Wkrótce zagrała muzyka amatorska złożona z członków stowarzyszenia, i młode pary puściły się w wir walca. Całe to zebranie miało wygląd demokratyczny; mężczyźni w czarnych tużurkach, panie w kostiumach skromnych spacerowych. Stowarzyszenie bowiem śpiewackie urządzające ową zabawę było oddziałem głównego Towarzystwa rękodzielników niemieckich w Konstantynopolu (t. zw. Gewerbe-Verein'u). Pani Kleinerowa córeczkę swoją zaprowadziła do pokoju dziecięcego. Przez drzwi otwarte chwilowo ujrzałem tam, ze zdziwieniem kilkanaście kołysek, w których spały małe dzieciaki,pod opieką kilku pań starszych; większe dzieci bawiły się spokojnie lalkami, bardzo przyzwoicie: Tak radziły sobie tam praktycznie niemki, nie mogące zostawić małych dzieci w domu bez opieki należytej. Po paru tańcach przed północą wysunąłem się pocichu do domu, aby się wyspać do zwykłej pracy codziennej.

W tydzień potem wybrałem się z moim pomocnikiem p. Juljanem, na bal maskowy publiczny w Hotelu greckim na Pera. O godzinie 11-ej nie zastaliśmy tam jeszcze prawie nikogo; o północy dopiero zaczęli się schodzić powoli goście. Więc po

przekąsce w bufecie i wypiciu paru szklanek piwa wiedeńskiego, kopnęliśmy się do domu, nie chcąc marnować całej nocy naprożno.

W kilka dni później poszliśmy jeszcze z p. Juljanem razem, dla bezpieczeństwa osobistego z dobrze nabitemi rewolwerami w kieszeniach bocznych, na bulwar portowy Galaty, gdzie za dnia widziałem olbrzymie plakaty pompatycznie ilustrowane licznych kabaretów. Około godziny 10-tej weszliśmy do jednego z najokazalszych zewnętrznie. Była to wielka brudna sala, prawie pusta, z dużym bufetem zastawionym flaszkami, oświetlona dość słabo. Zasiedliśmy przy stoliku w pobliżu wejścia. Kazałem podać dwie szklanki wina greckiego Xanti, i zaraz zapłaciłem cenę przeszło dubeltową, którą liczą tam zwykle zamiast opłaty za wejścia niby bezpłatne. Pytam garsona dlaczego przedstawienie jeszcze się nie zaczyna? Objaśnił, że muzykanci przyjdą wkrótce. Przy dwóch stolikach w głębi sali siedziało kilkunastu marynarzy greków i włochów. Jeden z greków już podpity wstał do bufetu zapalić papierosa; zataczając się potrącił włocha. Ten zerwał się z pięściami zaciśniętemi klnąc wściekle:

— Bestja! kanalja!! bydle przeklęte!!!

I nagle wszczęła się bujka na boksy. Towarzysze rzucili się na pomoc, i zakotłowały się pięście. Garson i gospodarz poskoczyli uspokajać miłych gości. My nie czekając dalszego przebiegu tej awantury, wymknęliśmy się przezornie i szczęśliwie na czas, gdyż silny patrol policji tureckiej już skierował się z ulicy do owego przybytku muzy marynarskiej. Więcej już nie próbowaliśmy badać tajemnic nocnych Bulwaru morskiego Galaty, nie chcąc oberwać gdzie guza, lub co gorsza nożem pod żebro...

Na przedmieście Ferikje do ciotki Yordanowej wieczorem chodzić w odwiedziny, a zwłaszcza wracać nocą nie było bezpiecznie. Albowiem pomiędzy stacją końcową tramwaja na Szyszli a domem ciotki rozciągały się place puste, rozległe i pełne wybojów. Tamtędy z latarką zaświeconą w lewej ręce, a z rewolwerem w prawej, wracałem do miasta do domu niepewny czy nie będę obdarty przez rabusiów podmiejskich.

Wobec tego w połowie marca w piękną niedzielę, zaraz po śniadaniu zrana, wybrałem się do ciotki Justyny. Pogoda była słoneczna, ciepła, przeto ciocia zaproponowała abyśmy poszli pieszo spacerem do Bebeku, do państwa Groplerów, dobrych dawnych znajomych wujostwa Yordanów. Udaliśmy się drogą górną, koło wielkiego cmentarza greckiego. Za jego bramą szeroką widać było przy głównej alei szeregi wspaniałych grobowców, kapliczek i mauzoleów z białego marmuru z katakumbami familijnemi bogaczów Konstantynopola. Nie zatrzymując się tam długo, drogą dalej pustą, niezabudowaną, doszliśmy do małych koszar policyjnych t. zw. Kuluku i wioski Dżindżirli, wreszcie do górnych ulic przedmieścia nadmorskiego Bebek, zrobiwszy

przeszło 5 kilometrów. Piękna willa państwa Groplerów leżała nieco niżej, niedaleko wybrzeża morskiego Bosforu. Minąwszy bramę główną, przez mały podworzec weszliśmy do przedpokoju na piętrze, gdzie służący wpuścił nas do wielkiego salonu, skąd ciocia udała się zaraz do gabinetu pani domu, a ja poczekałem nieco. Przeglądając albumy, usłyszałem jakiś szelest. Nagle przez boczne drzwi salonu wpadło dwanaście kotów galopem, ścigając się przez krzesła, fortepian, stoły i wypadło przez przedpokój na dwór, gdzie czekało ich zwykłe śniadanie, złożone z małych ryb morskich, jakie widzieliśmy przechodząc przez dziedziniec w wodzie w dużym cebrzyku. Każdy z tych kotów był innej rasy i barwy; rej wodził tam wielki biały kot angorski, ulubieniec pani domu. Wkrótce też weszły do salonu obie panie i zaraz zostałem przedstawiony. Pani Groplerowa, osoba w średnim wieku, w czarnym kostiumie eleganckim, szczupła i bardzo ożywiona, zasiadła z ciocią przy oknie z kwiatami. Po krótkiej rozmowie zostałem zaproszony na stałe zebrania południowe niedzielne. Pan Gropler nie wrócił jeszcze z miasta, więc nie czekając na niego, pożegnawszy się, zeszliśmy z ciocią na bulwar nadmorski, i pierwszym parowcem odchodzącym z przystani miejscowej wróciliśmy do miasta. Z wybrzeża odprowadziłem ciocię do jej domu na Ferikje, i zostałem tam na obiad. Po południu za dnia jeszcze wróciłem do siebie tramwajem.

W parę dni potem p. Gropler w dzień powszedni, wracając ze swego biura do siebie, rewizytował mię w naszym magazynie i ponowił uprzejme zaproszenie na jego zebrania niedzielne.

P. Henryk Gropler, bogaty przemysłowiec, należał podówczas do spółki wielkiego przedsiębiorstwa kopalń marmurów, gipsu i boracytu w Azji mniejszej, na południowym brzegu Morza Marmora w dolinie rzeczki Susurliczaj, wpadającej do morza niedaleko Pandermy (starożytnej Panormy). Spólnikami jego byli bankier Noel anglik, z udziałem dużego kapitału, oraz francuz Desmasure uczony geolog i technik, zamieszkały w Paryżu, gdzie prowadził biuro przedsiębiorstwa. Pan Gropler przez swoje stosunki i poważne wpływy w rządzie tureckim przyczynił się głównie do uzyskania koncesji terenów górniczych na miejscu. Pierwotnie eksploatowano tam głównie marmury i gips w celach architektonicznych i rzeźbiarskich. Zdarzyło się że w taczkach z gipsem zauważono inny minerał, z którego zarządzający kopalnią zrobił przycisk w kształcie jaja i położył na papierach na biurku. Pan Desmasure geolog, podczas bytności swej w kopalni, zwrócił uwagę na ów przycisk, i po ściślejszem zbadaniu rozpoznał w nim minerał boracyt, materjał bardzo cenny, używany w hutach szkła. Odmianę miejscową tego minerału nazwano pandermitem, od miasta pobliskiego Pandermy.

Boracyt pod względem teoretycznym jest jednym z minerałów najciekawszych. Kryształy jego bywają pojedyncze, rzadziej zespolone, pozornie regularne, tetraedryczne. Przełam jego

jest muszlowy, połysk szklisty. Bywa przezroczysty lub mętny, biały lub barwny, zielony, żółtawy, szarawy. Chemiczny jego skład teoretyczny jest: 26.9 magnezji, 10.6 chlorku magnezu, 62.5 bezwodnego kwasu bornego; przytem drobne ilości wody, żelaza, wapnia. Jego wzór chemiczny wyprowadza się z soli kwaśnej $Mg_7 H_2 B_{16} O_{32}$. Substancja boracytu pochodzi prawdopodobnie z wody morskiej. Według systematyki naturalnej boracyt należy do rzędu boranów gromady spinelowców, jego ciężar gatunkowy jest 2.9 do 3, twardość 7.

Odkrycie tego cennego minerału w kopalni p. Groplera nadało nowy kierunek temu przedsiębiorstwu. Duże ładunki zaczęto wywozić na własnych parowcach handlowych do Francji do Marsylji, co dawało dochody bardzo znaczne. Obszerniejszą wiadomość o tem podał „Wędrowiec“ tygodnik warszawski, w artykule p. t. „Górnictwo polskie w Azji mniejszej“.

P. Gropler z czasem obok swego dawnego domu w Bebeku wybudował piękną willę murowaną, urządzoną z komfortem. Dom państwa Groplerów nad Bosforem, zwany „ambasadą polską“, był oddawna ogniskiem emigracji naszej w tamtych stronach, gościną najznakomitszych ziomków i cudzoziemców, środowiskiem życia polskiego w Konstantynopolu. Państwo G. podejmowali tam ongi generała Klapkę, Adama Mickiewicza w r. 1855, Sadyka-baszę Czajkowskiego, Karola Brzozowskiego, Jana Matejkę (brata ciotecznego p. Groplera) w r. 1872 przez parę miesięcy, Chlebowskiego, Henryka Sienkiewicza, Włodzimierza Spasowicza, Ajdukiewicza, Stykę i wielu słynnych cudzoziemców. Słowem i emigracja i najznakomitsi polacy i obcy znajdowali w domu państwa Groplerów zawsze serdeczną gościnę i doborowe towarzystwo.

Pani Ludwika Groplerowa, z domu Głowacka, niewiasta wykształcona wszechstronnie, pianistka i kompozytorka, służyła zawsze chętnie radą i pomocą swym ziomkom. Z licznych swych utworów muzycznych ogłosiła drukiem w Konstantynopolu między innemi „Niezapominajki polskie“, które w świecie muzycznym przyjęto z wielkiem uznaniem.

Podczas moich odwiedzin u państwa Groplerów miałem sposobność poznać ich siostrzeńca, znakomitego skrzypka i kompozytora p. Mieczysława Jarońskiego (syna ś. p. Feliksa, cenionego muzyka, kompozytora i dyrektora tow. muz. „Lutni kieleckiej“). P. Mieczysław Jaroński, podówczas młody człowiek, w kwiecie wieku, brunet średniego wzrostu, po ukończeniu konserwatorjum w Lipsku, czas jakiś był profesorem szkoły muzycznej w Odessie, później zamieszkał na dłużej w Konstantynopolu po zgonie ś. p. Groplera. Mieczysław Jaroński pod wpływem utalentowanej ciotki, i w otoczeniu tak przyjaznem dla rozkwitu talentu, rozwinął go szybko, i grę skrzypcową doprowadził do wysokiego artyzmu. Technikę miał skończoną, ton wielki i ogrom uczucia. Jego gry słuchały nieraz ambasady za-

przyjaźnione, które w Konstantynopolu świetnością swych pałaców i przepychem apartamentów przypominają wielkie dwory monarsze; słuchał jej też i dwór sułtański. Mieczysław Jaroński, kochając przeszłość ziemi rodzinnej i piękno, gromadził w Bebeku zabytki polskie i dzieła sztuki, założył czytelnię dla kolonji polskiej w Adampolu, a łącznie z Towarzystwem polskiem dobroczynności starał się o nabycie domu w którym mieszkał i zmarł Adam Mickiewicz — na własność narodową. Utalentowany artysta podróżując koncertował też nieraz w Odessie, w Krakowie i w Lipsku w t. zw. Pałacu kryształowym. Czas jakiś przebywał w Kielcach u swej bliskiej rodziny.

Korzystając z uprzejmych zaprosin, przy wolnym czasie w niedziele, jeździłem parowcem osobowym przybrzeżnym do Bebeku do państwa Groplerów, gdzie przy gościnnym stole w południe zbierało się na śniadanie nieliczne lecz doborowe towarzystwo. Prócz rodaków zaprzyjaźnionych, bywali tam przeważnie członkowie ambasad francuskiej i austrjackiej. Za pierwszą bytnością, dzięki mojej znajomości Włoch i języka francuskiego, otrzymałem przy stole miejsce obok radcy ambasady austrjackiej księcia Lobkowica i jego młodej małżonki, włoszki niezwykłej piękności, która z wielką znajomością dzieł sztuki i architektury, prowadziła ze mną rozmowę i słuchała z zajęciem moich opowiadań z podróży po jej ojczystej Italji.

Przechodząc za interesami Wielką ulicą Galaty (Grande rue de Galata) zauważyłem w pobliżu dolnego dworca kolei Tunelu duży szyld nad bogatą wystawą w oknie magazynu jubilerskiego i zegarów. Na szyldzie, wielkiemi literami greckiemi, wypisane było nazwisko polskie: A. Michałowski. Od p. Kowalskiego tapicera, który robił portjerę w naszym magazynie dowiedziałem się, że p. Adam Michałowski był prezesem „Polskiego Towarzystwa wzajemnej pomocy i dobroczynności w Konstantynopolu". Raz więc wracając z banku „Crédit Lyonnais" (gdzie składalem gotówkę na rachunek bieżący) wstąpiłem do magazynu p. Michałowskiego, przedstawiłem się jako rodak nowoprzybyły i oddałem „Cennik ilustrowany" naszego składu. Pan M. powitał mię uprzejmie i prosił spocząć na chwilę w głębi magazynu na krześle, obok wielkiego mangala, przy którym zasiadł z drugiej strony, ogrzewając sobie ręce ciepłem powietrzem. Mangal czyli ogrzewacz turecki, używany na Wschodzie tam gdzie niema pieców, składa się z wielkiej misy głębokiej, zwykle mosiężnej, z otworkami po bokach, napełnionej żarzącym węglem drzewnym. Zwierzchu duża pokrywa wypukła z licznemi otworkami, z długą rączką wpośrodku, przepuszcza gorące powietrze, które ogrzewa izbę. W sklepach często otwieranych jestto ogrzewanie znośne, lecz w pokojach zamkniętych daje dużo czadu, który może sprawiać ból głowy bardzo szkodliwy. P. Michałowski, człowiek wzrostu słusznego, szatyn z dużym zarostem brody, w średnim wieku, nieco jąkający się, ubrany był

w długie palto brązowe; w jego bowiem magazynie było dość chłodno, pomimo ogrzewacza, do którego od czasu do czasu dorzucał garść węgla drzewnego. Po krótkiej rozmowie p. M. prosił mię abym go odwiedził na dłużej w jego mieszkaniu, w pobliskim domu, który cały zajmował. Na drugi dzień p. Michałowski rewizytował mię w naszym magazynie i oddał mi egzemplarz „Statutu polskiego Towarzystwa dobroczynności", którego był prezesem, oraz dwa Sprawozdania drukowane o działalności tego towarzystwa w r. 1885 i 1886.

Ustawę tę, jako treściwą i krótką, podaję poniżej w całości, także i z tego względu, że wiele innych podobnych stowarzyszeń polskich na emigracji rządzi się temi samemi przepisami:

„*Statut polskiego Towarzystwa* wzajemnej pomocy i dobroczynności:

Tytuł I. Cel i zasady.

Artykuł 1. Celem organizacji Towarzyztwa wzajemnej pomocy i dobroczynności jest: a) pomagać biedniejszym członkom i ich familjom według możności, b) starać się umieszczać członków, znajdujących się bez pracy, wynajdywać im robotę lub jakiekolwiek urzędy, c) zaprowadzenie pomiędzy stowarzyszonymi dobrego bytu, moralności i nieskazitelności.

Art. 2. Wzbrania się każdemu członkowi pod karą wykreślenia z Towarzystwa polskiego rozprawiać na posiedzeniach o polityce i religji, jako też krytykować czyny rządu tureckiego, którego gośćmi jesteśmy.

T. II. Skład Towarzystwa polskiego.

Art. 3. Każdy wychodźca polski, którego życie. tak prywatne jak i publiczne nie ulega zarzutom hańbiącym, może być członkiem Towarzystwa. Każdy wstępujący musi mieć jakąkolwiek pozycję lub zajęcie, by nie żądać dla siebie wsparcia, lecz przeciwnie, być pomocnym dla tych, co przez nieszczęście wpadną w biedę. Liczba członków jest nieograniczoną.

Art. 4. Ogół członków jest władzą prawodawczą Towarzystwa polskiego i wszelkie postanowienia wydaje na zgromadzeniach większością głosów.

Art. 5. Ogół członków wybiera z pośród siebie komitet, przy którym zostaje li tylko władza wykonawcza. Oprócz komitetu ogół członków w razie potrzeby może obierać komisje dla załatwienia rozmaitych potrzeb Towarzystwa polskiego.

T. III. O przyjęciu członków.

Art. 6. Każdy wychodźca polski, chcący wpisać się do Towarzystwa polskiego, musi być zaproponowanym przez dwóch członków tegoż Towarzystwa, którzy zaręczą w księdze sprawozdań pisemnie i pod słowem honoru, że kandydat odpowiada wymaganiom, wyrażonym w artykule 3-cim i że ściśle zachowa niniejszy statut.

Art. 7. Po przedstawieniu kandydata przez dwóch członków i wpisaniu ich poręczenia do księgi sprawozdań, wstępuje w czynność komisja informacyjna, ku temu celowi wyznaczona. Sprawozdanie komisji informacyjnej przeczytane i przyjęte daje prawo do głosowania.

Art. 8. Przyjęcie kandydata odbywa się na ogólnem zgromadzeniu przez głosowanie sekretne; absolutna większość głosów decyduje przyjęcie kandydata; w razie równości głosów, prezydent ma głos decydujący.

Art. 9. Kandydat raz odrzucony, nie może nigdy więcej być przyjętym ani też przedstawionym do Towarzystwa polskiego.

Art. 10. Nowo wstępujący musi podpisać niniejszy statut i zgóry zapłacić dwadzieścia piastrów jako wpisowe i pięć piastrów jako podatek pierwszego miesiąca.

T. IV. O członkach.

Art. 11. Każdy członek Towarzystwa polskiego musi zapłacić pięć piastrów miesięcznie jako podatek w ręce kasjera. Ten członek, który przez trzy miesiącc nie zapłaci swego podatku, będzie wykreślony z Towarzystwa i nie będzie mógł wejść napowrót, aż póki nie spłaci odrazu wszystkich zaległych podatków.

Art. 12. Jeśli jeden z członków wpadnie w biedę, to Towarzystwo polskie na ogólnem zgromadzeniu wyznaczy kwotę dla zapomogi. W razie choroby jednego z członków, nie mającego potrzebnego funduszu dla wyleczenia się, Towarzystwo polskie jest obowiązane opłacić lekarza i lekarstwa.

Art. 13. W razie śmierci jednego z członków, Towarzystwo polskie jest obowiązane być na pogrzebie i położyć koronę na grobie w pamięć zmarłego.

Art. 14. Przed upływem jednego roku, licząc od dnia zapisania się, nikt z członków niema prawa żądać zapomogi pieniężnej.

Art. 15. Każdy członek, który będzie nieprzyzwoicie znajdować się na posiedzeniu lub też przeszkadzać naradom w sposób niegrzeczny, będzie wykreślonym z Towarzystwa polskiego.

T. V. Skład administracji.

Art. 16. Każdego roku w miesiącu styczniu, Towarzystwo polskie na ogólnem zgromadzeniu, przez wota sekretne, większością głosów obierze prezydenta, wice-prezydenta, sekretarza i kasjera, którzy stanowią komitet.

Art. 17. Prezydent tylko może zwoływać posiedzenie, upoważniając sekretarza do napisania na ten cel listów zapraszających. Prezydent otwiera i zamyka posiedzenia; kieruje jego rozprawami, dając głos temu, który o to prosi i odbiera dany głos w razie potrzeby, utrzymuje porządek posiedzenia i jest stróżem niniejszego statutu, obowiązując każdego członka do zachowania ścisłego tegoż statutu. Prezydent podpisuje kwity do kasjera, sprawozdania każdego posiedzenia jakoteż wszelkie listy.

Art. 18. Wice-prezydent wypełnia obowiązki prezydenta, jeśli ten ostatni jest nieobecny lub chory.

Art. 19. Sekretatz, prócz spisywania rozpraw posiedzenia, utrzymuje archiwum, pieczęć Towarzystwa polskiego i podpisuje razem z prezydentem wszystkie dokumenty jakoteż listy korespondencyjne.

Art. 20. Kasjer utrzymuje pieniądze Towarzystwa polskiego i płaci tylko kwoty podpisane przez prezydenta i sekretarza. Kasjer ma prawo wezwać jednego członka do pomocy, czy to w pisaniu, czy to do zbierania podatków, lecz kasjer jest odpowiedzialny za swego pomocnika. Każdego roku jest kasjer obowiązany zdać rachunek pieniężny komitetowi, a komitet w swoim rocznym raporcie czyli sprawozdaniu ogłosi na ogólnem zgromadzeniu jaki jest stan kasy.

Art. 21. Jeśli czyny komitetu są przeciwne statutowi i interesom Towarzystwa polskiego, wówczas członkowie, większością głosów, mają prawo na ogólnem zgromadzeniu zmienić członków komitetu. Wszyscy członkowie na wezwanie prezydenta są obowiązani bezinteresownie pomagać komitetowi w jego czynnościach.

T. VI. O zgromadzeniach.

Art. 22. Zwyczajne zgromadzenia będą odbywać się dwa razy na miesiąc w dnie świąteczne. Aby posiedzenie mogło być uważane za prawne w swoich postanowieniach, powinno prócz komitetu znajdować się przynajmniej pięciu członków; mniejsza liczba członków czyni posiedzenie nieważnem. Nikt z członków niema prawa zabierać głosu bez pozwolenia prezydenta. Każdy członek pragnący dobrego istnienia i bytu Towawarzystwa polskiego, może podawać projekty, które na ogólnem zgromadzeniu większością głosów będą przyjęte lub odrzucone.

Art. 23. Każdy członek ma prawo dać dar dla Towarzystwa polskiego; ten dar będzie ogłoszony na ogólnem zgromadzeniu, a imię i nazwisko dobroczyńcy będzie wpisane w księgę sprawozdań. Będzie zrobiona pieczęć Towarzystwa polskiego, o której formie komitet zadecyduje. Każdy akt, który nie jest objęty osobnym artykułem niniejszego statutu, jest zostawiony do rozstrzygnięcia ogółowi członków na posiedzeniu.

Art. 24. Ten statut wchodzi w życie, skoro założyciele tego Towarzystwa polskiego, większością głosów przyjmą go i podpiszą. Ten statut może być zmienionym po trzech latach, jeżeli trzy czwarte członków tego żądać będą. Imiona założycieli Towarzystwa polskiego będą wpisane w księdze sprawozdań.

Głosowano i przyjęto na posiedzeniu dnia dwudziestego drugiego lutego 1885 roku.

Prezydent Adam Michałowski, wice-prezydent Jan Komadziński, sekretarz dr. F. Czarkowski, skarbnik Józef Ratyński.

„Wszelkie korespondencje należy przesyłać pod następującym adresem: Monsieur Adam Michałowski nėgociant en horlogerie et bijouterie, Grande Rue de Galata Nr. 28 à Constantinopole.“

W dalszym ciągu podaję poniżej dwa sprawozdania za pierwsze dwa lata działalności Polskiego Towarzystwa dobroczynności w Konstantynopolu, dosłownie bez zmian, z pewnemi usterkami gramatycznemi i stylistycznemi jakie cechują zepsucie w pewnym stopniu języka polskiego na obczyznie:

I Sprawozdanie roczne za r. 1885 Polskiego Towarzystwa wz. pom. i dobroczynności:

„Szanowni Rodacy! Z powodu, że wielu emigrantów polskich, zamieszkałych w Państwie tureckiem nie wiedzą o założeniu naszego Towarzystwa, czuję się w obowiązku rozpocząć to pierwsze sprawozdanie przez krótki przegląd historyczny by wszyscy wiedzieli w jaki sposób, dla jakich przyczyn i powodów kilku braci naszych byli zmuszeni założyć tak niezbędnie potrzebne Towarzystwo.

Od kilku lat stan emigracji polskiej bardzo się pogorszył z powodu kryzys i nieszczęść, jakie spadły na Państwo tureckie. — Wielu z naszych rodaków potracili miejsca i byli dotknięci rozmaitemi chorobami dla wyleczenia których, trzeba było nietylko pewnych funduszów, ale też co najbardziej opieki i doglądu. W roku 1884 i na początku 1885 roku umarło wielu naszych rodaków ogólnie szanowanych, a najsmutniejszy cios dla emigracji polskiej była śmierć tragiczna obywatela Śliwińskiego, który mając przez kilka miesięcy pomieszanie zmysłów i nie mając żadnej osoby, któraby nim opiekowała się, zakończył swe życie przez samobójstwo.

Obywatel Adam Michałowski, widząc smutek i przykre wrażenie jakie zrobiło samobójstwo Śliwińskiego pomiędzy rodakami zamieszkałymi w Konstantynopolu, wziął inicjatywę do założenia Towarzystwa polskiego, ażeby ta mała garstka pozostałych emigrantów, żyli jak dzieci jednej matki dopomagając jeden drugiemu moralnie i materjalnie, jako też dodając ducha wytrwałości w walce codziennej o swój byt i o byt swych rodzin. — Ta myśl i projekt Adama Michałowskiego były wraz przyjęte przez ś. p. Józefa Ratyńskiego, doktora Fortunata Czarkowskiego, Jana Komadzińskiego, doktora Feliksa Gnatowskiego, Augusta Tarnawskiego, Aleksandra Dewodzkiego, Feliksa Zabłockiego, Wiktora Zabłockiego i hrabiego de Rochetin, którzy z największą ochotą podpisali się na liście projektu jako fundatorowie Koła polskiego, co świadczy pierwotna lista podpisów.

Na pierwszem posiedzeniu fundatorów Koła polskiego dnia 22 lutego 1885 roku obywatel Adam Michałowski przedstawił Statut przez niego wypracowany, ktory jednogłośnie był przyjęty z małemi poprawkami. Mając już statut gotowy, fundatorowie przystąpili do wyboru komitetu.

Obrani zostali: na prezydenta Adam Michałowski, na wiceprezydenta Jan Komadziński, na sekretarza dr. Feliks Gnatowski, na skarbnika ś. p. Józef Ratyński.

Jak każdy nowy projekt jest na początku trudnym do wykonania, tak też nasze Towarzystwo napotkało wiele nieprzyjemności, krytyk i przeszkód do jego rozwinięcia się. Najprzód konsulat francuski i władze tureckie źle poinformowane przez naszych nieprzyjaciół, co się tyczy celu szlachetnego naszego Towarzystwa, obowiązywali nas do rozejścia się i zamknięcia Koła polskiego. — Dzięki energicznej mowie doktora Czarkowskiego, powiedzianej 3 marca, a popartej przez ś. p. Józefa Ratyńskiego, Towarzystwo utrzymało się sekretnie do dnia 28 czerwca 1885 roku, dnia, w którym obywatel prezydent dla dogodzenio władzom, zaproponował zmianę nazwy Koła polskiego i niektóre poprawki w statucie. — Po przyjęciu przez członków propozycji Adama Michałowskiego, nasze Towarzystwo od dnia 28 czerwca przyjęło nazwę: „Towarzystwo polskie wzajemnej pomocy i dobroczynności w Konstantynopolu" i otrzymało ostateczny nowy statut, obowiązujący członków do zachowania go przez 3 lata.

Prezydent złożył w konsulacie francuskim nowy statut w dwóch językach, to jest w polskim i we francuskim, i nieomieszkał wraz rozesłać kopij tegoż statutu członkom zamieszkałym na prowincji. Niedosyć przeszkód i trudności jakie Towarzystwo miało do rozwinięcia się i spełnienia swego posłannictwa, spotyka Towarzystwo nowy ogromny cios, a to śmierć naszego nieodżałowanego rodaka i fundatora Józefa Ratyńskiego, który utrzymał tak patrjotyzm jak też język polski w swej familji; który przez swoją mozolną 30-letnią pracę zakupił od cudzoziemców dom, gdzie mieszkał i umarł nasz poeta szanowany przez cały świat Adam Mickiewicz. — Wyrywając z rąk cudzoziemców narodową polską pamiątkę, zapomnianą przez wszystkich oddał usługę Polsce, a ładną i nieśmiertelną zostawił pamiątkę swym dzieciom. Inni polacy będąc wysoko położeni i mając fundusze ku temu, nie zrobili tego, co ś. p. Józef Ratyński wyświadczył przez swój patrjotyzm, swoje poświęcenie się i swą mozolną pracę. Cześć jego popiołom!!!

Towarzystwo straciwszy 25 maja swego skarbnika, zaraz przystąpiło do wyboru nowego kasjera. Na posiedzeniu dnia 31 maja Józef Ratyński najstarszy syn ś. p. Józefa Ratyńskiego był jednogłośnie obrany skarbnikiem Towarzystws na r. 1885.

Z boleścią serca i smutkiem niewypowiedzianym muszę tu Panom powiedzieć o niesnaskach jakie wszczęły się pomiędzy niektórymi członkami z powodów do dziś dnia niewyjaśnionych... To nowe i tak dotkliwe nieszczęście, które zaczęło podkopywać fundamenta istnienia Towarzystwa, ogromnie przykre zrobiło wrażenie i pogrążyło w smutek wszystkich członków. By odrazu ukrócić kilkumiesięczne niesnaski i wprowadzić spokój

pomiędzy członkami, Towarzystwo na posiedzeniu z dnia 8-go listopada, pod prezydencją wice-prezydenta Jana Komadzińskiego opierając się na artykułach 15-tym i 21-ym statutu, zdecydowało większością głosów: 1. Przyjąć dymisję doktora Gnatowskiego jako sekretarza, o którą listownie tenże podał. 2. Wykreślić doktora Feliksa Gnatowskiego jako członka Towarzystwa, zawiadamiając go o tem, i wpisując protokuł do księgi sprawozdań.

Towarzystwo nie mając swego sekretarza, na posiedzeniu z dnia 22-go listopada obrało jednogłośnie doktora Fortunata Czarkowskiego sekretarzem na rok 1885.

Szanowni rodacy! Po tylu nieszczęściach, przeszkodach i zaburzeniach, jeśli nasze Towarzystwo utrzymało się do dzisiejszego dnia, to dzięki poświęceniu się, pracy i wytrwałości członków zamieszkałych w Konstantynopolu i dzięki uczestnictwu, dobrej chęci i wyrozumiałości członków zamieszkałych na prowincji. — Dziś nietylko, że Towarzystwo złożone z 10-ciu członków utrzymało się, lecz pomimo wszystkich intryg, przeszkód i krytyk, nasze Towarzystwo powiększało się, i teraz liczy 25-ciu członków, ludzi poważnych i pełnych poświęcenia. Oto co znaczą jedność, miłość braterska i wytrwałość, te tak ładne zasady, na których Towarzystwo nasze było ufundowane. Kiedy nigdy w Konstantynopolu nie mogło założyć się, ani utrzymać żadne Polskie Towarzystwo, dziś z niczego sformowało się przez 10 miesięcy tak chwalebne Towarzystwo, liczące 25-ciu członków i mające maly fundusz w kasie, tu niżej wyszczególniony. Kończąc ten któtki pogląd historyczny muszę powiedzieć, że Towarzystwo uchwaliło na posiedzeniu z dnia 4-go września Loterję fantową złożoną z 1000 biletow, mających 6 wygranych, a której ciągnienie odbędzie się 22-go lutego 1886 roku, w rocznicę założenia Towarzystwa, w domu pani Ratyńskiej o godzinie 2-ej po południu. Dziś nie mogę w tem sprawozdaniu zdać Panom rachunku z loterji, ponieważ nie mogłem otrzymać rachunku od kilku członków, którym były powierzone bilety do rozprzedania. Rachunek najdetaliczniejszy tejże loterji będzie zdany na pierwszem posiedzeniu, które odbędzie się 28-go lutego.

Następuje teraz lista członków naszego Towarzystwa.

Członkowie znajdujący się w mieście:

1. Adam Michałowski,
2. Jan Komadziński,
3. Dr. Fortunat Czarkowski,
4. Józef Ratyński (syn),
5. Aleksander Dewodzki,
6. August Tarnawski,
7. Feliks Zabłocki,
8. Wiktor Zabłocki,
9. Józeł Michałowski,
10, Franciszek Kowalski,
11. Izydor Radziwonowicz,
12. Stanisław de Rochetin,
13. Leopold Kozłowski,
14. Karol Bąkowski,
15. Bolesław Holc.

Członkowie znajdujący się na prowincji:

17. Wincenty Ryży, na Czyfliku Adampol
18. Jóżef Gorowski, Inżynier w Amassji

19. Jan Baranowski, inżynier w Kastamuni
20. Józef Wróblewski, szef stacji kolei żelaznej
21. Teodor Rajski w Niszu
22. Franciszek Zembrzuski, inżynier w Rodosto
23. Teodor Wańkowicz, inżynier w Angorze
24. Józef Romer, inżynier w Angorze
25. Piotr Bąkowski, doktór Municypalności w Angorze.

Teraz podaję Panom wyciąg z księgi sprawozdań, to co było zdecydowane pod względem jurydycznym na 21 posiedzeniach. Ten wyciąg będzie stanowić początek naszego regulaminu, o którym była mowa na pierwszem zasadniczem posiedzeniu z dn. 22-go lutego.

Regulamin Towarzystwa polskiego wzajemnej pomocy i dobroczynności:

Artykuł 1. Towarzystwo polskie może przyjąć dar od polaków przejeżdżających, lecz od zamieszkałych w Konstantynopolu i nienależących do Towarzystwa wzbrania się najformalniej przyjęcia daru. (Uchwalono na posiedzeniu z dnia 1-go marca 1885 roku).

Art. 2. Biorąc na uwagę, że liczba członków nie jest wielką, obecność sześciu członków czyni posiedzenie prawnem i decydującem. (Zdecydowano na posiedzeniu z dnia 15-go marca 1885).

Art. 3. Sprawozdanie każdego posiedzenia powinno być regularnie spisane przez sekretarza i odczytywane na następnem posiedzeniu dla potwierdzenia przez zgromadzonych członków i dla wpisania do księgi sprawozdań. (Zdecydowano na 4-tem posiedzeniu z dnia 15-go marca 1885.)

Art. 4. Chorągwie polskie, póki Towarzystwo istnieje, są pod opieką i odpowiedzialnością prezydenta. Wrazie zamknięcia Towarzystwa polskiego będą oddane do kościoła Ś-tej Marji. (Zdecydowano na 6-tem posiedzeniu z dnia 26-go kwietnia 1885).

Art. 5. Każdy z członków, który nie był na 3-ch posiedzeniach z rzędu, powinien wytłomaczyć się za pośrednictwem jednego z członków, którego upoważni do głosowania na jego miejsce. (Zdecydowano na posiedzeniu z dnia 15-go czerwca).

Art. 6. Jeśli numery dwóch akcji kolei żelaznej nr. 657.844 i nr. 979.233, kupione przez Towarzystwo, wygrają los I-szy lub II-gi los, to wówczas $^1/_{10}$ wygranego losu wchodzi do kasy Towarzystwa, a $^9/_{10}$ będą podzielone po równej części pomiędzy wszystkich członków Towarzystwa; wrazie wygranej innych mniejszych losów, to cała suma wchodzi do kasy bez żadnego podziału pomiędzy członków. (Zdecydowano na 11-tem posiedzeniu z dnia 28-go czerwca).

Art. 7. Wzbrania się przyjmować wizytatorów na posiedzenia Towarzystwa, to jest osoby, które nie są członkami tegoż Towarzystwa. (Uchwalono na posiedzeniu z dnia 12-go lipca.)

Art. 8. Członkowie zamieszkali na prowincji muszą zapłacić odrazu najmniej za 6 miesięcy, aby uniknąć kosztów pocztowych. (Uchwalono na posiedzeniu z dn. 25-go lipca 1885 r.).

Art. 9. Wszelkie korespondencje powinny być adresowane na imię prezydenta, a prezydent po odczytaniu ich na posiedzeniu odda sekretarzowi dla zachowania w archiwach. (Zdecydowano na posiedzeniu 25-go lipca 1885 roku).

Art. 10. Obierze się przez głosowanie 2-ch członków, obowiązanych być na każdem posiedzeniu tak, by zawsze na posiedzeniu znajdowało się sześciu członków obecnych (zdecydowano na posiedzeniu z dnia 6-go grudnia 1885 roku).

Przystępuję teraz do przeglądu finansowego.

Przychód.

Wpłynęło do kasy jako wpisowe piastrów 540, jako podatki miesięczne.

1885 roku za marzec	70	piastr.	
„ „ „ kwiecień . . .	80	„	
„ „ „ maj	95	„	
„ „ „ czerwiec . . .	100	„	
„ „ „ lipiec	105	„	
„ „ „ sierpień . . .	110	„	
„ „ „ wrzesień . . .	110	„	
„ „ „ październik . . .	100	„	
„ „ „ listopad . . .	110	„	
„ „ „ grudzień . . .	95	„	
1886 roku zapłacono naprzód za styczeń	35	piastr.	
„ „ „ „ „ luty	35	„	
„ „ „ „ „ marzec	15	„	
„ „ „ „ „ kwiecień	10	„	
„ „ „ „ „ maj	10	„	
„ „ „ „ „ czerwiec	5	„	1085 piastr.
Jako dar: Józef Wróblewski . . .	4	piastr.	
Stanisław de Rochetin . .	28	„	
Teodor Wankowicz . .	28	„	
Józef Romer . . .	28	„	
Piotr Bąkowski . . .	4	„	
Za statuty	6	„	98 piastr.

Ogółem wpłynęło do kasy 1723 piastr.

Rozchód.

Za koronę pogrzebową dla ś. p. Józefa Ratyńskiego	57	piastr.	20	par
Za pieczęć z pudełkiem (zadecydowano 25 lipca)	58	„	—	„
Za pudełko mosiężne i gałki dla wotów (zadecydowano 4 września) . . .	32	„	20	„
Za nabożeństwo 2.X. (zadecydowano 1 listopada)	65	„	—	„

Jako wydatki	213	piastr.	—	par
Zapomoga żonie jednego członka (zadecydowano 25 lipca)	40	„	—	„
Za 2 akcje kolei żelaznej dla Towarzystwa (zadecydowano 28 czerwca) . . .	408	„	20	„
Ogółem wyszło z kasy	661	piastr.	20	par
Zostaje brzęczącą monetą w kasie . .	1061	„	20	„
Ogółem .	1723	piastr.	—	par

Rezultat: Na 1-go stycznia 1886. roku zostaje w kasie brzęczącą monetą 1061 piastr. 20 par, dwie akcje kolei żelaznej nr. 657.844 i nr. 979.233 i mamy do odebrania zaległych podatków 40 piastrów. Ten rachunek był zdany 12-go stycznia 1886 roku przez Józefa Ratyńskiego i weryfikowany przez Adama Michałowskiego prezydenta Towarzystwa, jak podpisy na kwitach tu sprezentowanych świadczą.

Szanowni rodacy! Przeglądając niniejszy rachunek każdy z Was zastanowi się nad tak małą sumą wydaną na potrzeby Towarzystwa, sumę 213 piastrów, i zdziwi się jak można było przy założeniu Towarzystwa gdzie są znaczne koszty by wszystko do porządku doprowadzić, załatwić wszystko tak szczupłą sumą. — Rzecz łatwa do odgadnięcia! Dzięki niektórym członkom którzy ponosili koszty ze swej kieszeni, nie domagając się zapłaty z kasy.

Księga sprawozdań była ofiarowaną przez Doktora Gnatowskiego a oprawioną przez Augusta Tarnawskiego. Obywatele, Józef Ratyński, Wiktor Zabłocki i Feliks Frankowski zajęli się pisaniem statutów ofiarując papier, swoją pracę jako też maszynę do tego potrzebną — bez ich pomocy tak wspaniałomyślnej nie mógłbym rozesłać i rozdać statutów wszystkim członkom. Książka kasowa i kwity kasowe były ofiarowane przez Józefa Ratyńskiego, teraźniejszego skarbnika. Koszty pocztowe i koszty kursów niezbędnie potrzebnych w mieście były zapłacone przez Adama Michałowskiego. — Tu muszę podziękować wobec wszystkich przytomnych, obywatelowi Wiktorowi Zabłockiemu, który przy swej codziennej pracy poświęcił się odbywać kursy przez te 10 miesięcy; dzięki mu że członkowie byli uświadomieni o posiedzeniach i że wszystkie sprawozdania są wpisane do wielkiej księgi. — Nasze Towarzystwo dobroczynności nie ma orderów ani też innych oznak, przeto, cała nagroda którą ofiaruje Towarzystwo jest: „Bóg zapłać“ to jest podziękowanie publiczne na zgromadzeniu. – Mówiąc o zasługach członków pozwólcie mi podziękować doktorowi Czarkowskiemu, że będąc zajęty służbą, bezpłatnie udawał się z pomocą lekarską do niektórych chorych członków Towarzystwa. Jeśli członkowie Towarzystwu oddali usługi i pokazali swe poświęcenie to nasze Polki znane całemu światu z patryjotyzmu toż samo w tyle nie zostały, bo dały dowód poświęcenia się i ofiarności.

Dzięki pani Ratyńskiej która ofiarowała dom swój na zgromadzenia i zakupiła Gazetę narodową na rok 1885-ty. — Dzięki pannie Emilji Dewodzkiej, że chciała poreperować chorągwie polskie i ofiarować uszytą przez nią sakwę do skurytynium. Przy takiem poświęceniu się członków i ich kobiet, możemy śmiało powiedzieć, że przyszłość naszego Towarzystwa jest świetną, i że Towarzystwo założone na dobrych fundamentach spełni swoje posłannictwo oddając usługi stowarzyszonym.

Z wyżej wspomnianego rachunku widzicie Panowie, że tylko było danych 40 piastrów na zapomogę lecz Towarzystwo trzymając się artykułu 14-go naszego statutu, nie mogło pierwszego roku rozdawać większych zapomóg. — Jeśli Towarzystwo zrobiło bardzo małą usługę pieniężną, to przeciwnie oddało wielką usługę moralną załatwiając interesy osobiste kilku członków tak u Władz konsularnych jako też u innych Władz miejscowych. Towarzystwo, stosownie do artykułu 1-go paragrafu 2-go, umieściło jednego członka znajdującego się bez miejsca dając służbę konduktora dróg i mostów przy inżynierze Gurowskim.

Kiedy polacy w Konstantynopolu nie zgromadzali się, a nawet nie znali się, pomiędzy sobą, dzięki Towarzystwu przy każdej okazji w roku 1885 widzieliśmy grono polaków, zjednoczonych miłością braterską i dające przykład życia towarzyskiego. Pierwsze zgromadzenie familijne odbyło się na Wielkanoc w domu Adama Michałowskiego, gdzie przy dzieleniu się jajkiem wielkanocnem, poznaliśmy familje polskie, daliśmy dowód cudzoziemcom obecnym tej ceremonji że polacy żyją, że jeszcze duch polski nie wygasł, a wszystkie oszczerstwa naszych nieprzyjaciół są fałszem. — Drugie zgromadzenie, wprawdzie smutne lecz dające znak życia polaków, było na pogrzebie śp. Józefa Ratyńskiego, gdzie polacy, z żonami i dziećmi, licznie zgromadzeni oddali ostatnią usługę i cześć swemu rodakowi tak w kościele jak na cmentarzu w obec zdumionych cudzoziemców, którzy nie znając języka polskiego ale widząc ogólne wzruszenie polaków, nie mogli wstrzymać się od płaczu.

Obchód żałobny za poległych braci w 1830 i 1831 roku, jaki odbył się tak ładnie dnia 2-go grudnia, podniósł moralnie imię polskie i emigrantów polskich w obec cudzoziemców licznie zgromadzonych w kościele S-tej Marji, gdzie pierwszy raz usłyszano dobrze odśpiewane hymny narodowo-polskie. Tegoż samego dnia po kościele, polacy zebrali się w domu Adama Michałowskiego, gdzie przy skromnem śniadaniu wobec zaproszonych cudzoziemców, były podniesione toasty oddające cześć i wdzięczność sułtanowi i jego władzom za gościnność nam ofiarowaną, toasty wzywające do zgody, jedności i toasty oddające sprawiedliwy hołd kobietom naszym, które zawsze odznaczały się swym patrjotyzmem. Przy tej ceremonji w domu Adama Michałowskiego cudzoziemcy przekonali się: 1. Że umiemy szanować naszych rodaków zasłużonych, bo był wniesiony z wielkim entu-

zjazmem toast za zdrowie obywatela Jana Komadzińskiego wice-prezydenta naszego Towarzystwa, który sam jeden tylko mógł reprezentować patrjotów polskich 1830 roku. 2. Przekonali się o naszej szczerej jedności, miłości braterskiej i gościnności polskiej. 3. Przekonali się, że oszczerstwa rozrzucane przez licznych naszych nieprzyjaciół są godnemi pogardy. 4. Tam usłyszeli pierwszy raz ci cudzoziemcy muzykę narodową, śpiewy narodowe i uwielbiali nasze tańce narodowe, po czem wszystkiem nabrali bardzo dobrej opinji o naszym narodzie.

Oto są czyny naszego Towarzystwa przez ubiegłe 10 miesięcy, a te kilka słów moich są odpowiedzią na zarzuty nam czynione, jakoby Towarzystwo nic nie robiło, nie ma żadnego celu i nie ma prawa istnienia. Najlepszym dowodem pożytku i potrzeby naszego Towarzystwa są: 1. Listy obywateli: Józefa Wróblewskiego, Teodora Wankowicza, Józefa Romera i Jana Baranowskiego, którzy zaklinają na wszystkie świętości by nie zważać na intrygi i przeszkody a utrzymać tak chwalebne Towarzystwo. 2. Sympatję cudzoziemców którzy wprzód nieznając polaków, teraz mają jak najlepszą opinję o nas i przy każdej okazji objawiają swe współczucie dla nas. 3. Słuszny szacunek i pochwałę jaką odebraliśmy od naszych rodaków zamieszkałych w ojczyźnie naszej a mianowicie w Galicji, o czem dowiedziałem się temu 3 dni i co panom zakomunikuje po skończeniu tego sprawozdania.

Szanowni Rodacy! po wyszczególnieniu wszystkich czynności naszego Towarzystwa proszę powiedzieć, czy można było więcej coś zrobić w tak krótkim czasie jak 10 miesięcy! Dziś po zdaniu tego sprawozdania i przystępując do nowych wyborów składam w ręce Wasze mandat prezydenta mnie powierzony i dziękuje Wam za Wasze zaufanie i współpracownictwo, proszę przebaczyć mi jeśli więcej nie mogłem uczynić, lecz zdaje się że nie zdradziłem Waszego zaufania bo zostawiam Wam Towarzystwo złożone z 25-ciu członków mające swój fundusik żelazny, mające szacunek i sympatję cudziemców i mające jak najładniejszą opinję w Polsce.

Konstantynopol dnia 17-go stycznia 1886.

Prezydent: Adam Michałowski.

Przy tej okazji zawiadamia się Szanownych Rodaków, że na posiedzeniu z dnia 17-go stycznia 1886 roku odbyły się przez wota sekretne wybory na rok 1886; znajdowało się 14-tu członków obecnych.

Na prezydenta został obrany Adam Michałowski, wice-prezydenta Jan Komadziński, sekretarza dr. Fortunat Czarkowski, skarbnika Józef Ratyński.

II Sprawozdanie roczne za r. 1886 Polskiego Towarzystwa wzajemnej pomocy i dobroczynności w Konstantynopolu:

„Szanowni Rodacy! Drugi rok istnienia naszego Towarzystwa, rok 1886, był bardzo nieszczęśliwym dla Członków składających nasze Towarzystwo. Rozmaite i bardzo dotkliwe nieszczęścia spadły na nas, które jednak z wielką rezygnacją znieśliśmy. Prócz strat materjalnych, które każdy z nas poniósł, choroba dotknęła dwóch członków ogólnie szanowanych; śmierć zabrała dwom naszym członkom dwoje dzieci i to jedynaków; — inne jeszcze dotkliwe nieszczęścia spotkały niektórych członków, o których zamilczę z powodu małego rozmiaru tego sprawozdania.

Pomimo wyżej wspomnianych nieszczęść, Towarzystwo nasze nietylko nic nie ucierpiało, lecz owszem rozwinęło się i stanęło na stopie tak silnej, że śmiało teraz mogę Panom powiedzieć: Żadne intrygi nie potrafią zniszczyć, ani też podkopać fundamentów naszego tak potrzebnego Towarzystwa.

1) Najprzód Towarzystwo nasze, jest uznane i szanowane przez rodaków zamieszkałych w Ojczyźnie naszej, a mianowicie w Galicji, o czem świadczą tamtejsze dzienniki, pisząc jak najlepiej o nas, i listy pisane do naszego Towarzystwa.

2) Uzyskało szacunek i sympatję emigracji polskiej w Paryżu i w Genewie, czego dowodem są listy następujące:

List z 14 listopada 1886 roku Towarzystwa: Instytucja czci i chleba w Paryżu.

List z 12 listopada 1886 roku Towarzystwa: Czytelni polskiej w Paryżu.

List z 11 grudnia 1886 roku Towarzystwa: Pracujących polaków w Paryżu.

I list Władysława Mickiewicza, syna naszego nieodżałowanego poety.

W tych to listach pochwalają nasz statut, nasz regulamin i sprawozdanie roczne, a życząc nam szczęścia i rozwoju, obiecują pomagać moralnie i być w korespondencji z nami.

3) Uzyskało szacunek i sympatję mieszkańców miasta Konstantynopola, którzy przy każdej okazji dają tego dowody, jak niżej z tego sprawozdania dowiedzą się szanowni rodacy; tu tylko na dowód powiem, że wielu cudzoziemców chciało nawet wstąpić do naszego Towarzystwa.

4) Zapomogi rozdane w 1886 roku świadczą o potrzebie i użyteczności naszego Towarzystwa w czasach tak przykrych i nieszczęśliwych w jakich ogół mieszkańców państwa tureckiego znajduje się.

5) Na początku roku 1886 Towarzystwo nasze liczyło 25-ciu członków, teraz zaś mamy 29. Liczba członków dochodziła już do 31, lecz Feliks Frankowski został wykreślonym na posiedzeniu z dnia 31 stycznia 1886 r., a Edward Wróblewski dał swoją dymisję, przyjętą na posiedzeniu z dnia 4 kwietnia 1886 r.

Następuje teraz lista członków naszego Towarzystwa.

Członkowie znajdujący się w mieście Konstantynopolu:

1) Adam Michałowski
2) Jan Komadziński
3) Dr. Fortunat Czarkowski
4) Aleksander Dewodzki
5) August Tarnawski
6) Wiktor Zabłocki
7) Hrabia Stanisław de Rochetin
8) Karol Bonkowski
9) Józef Michałowski
10) Franciszek Kowalski
11) Franciszek Radomski
12) Feliks Zabłocki
13) Ibrahim Aleksandrowicz.

Członkowie znajdujący się na prowincji:

14) Józef Ratyński, urzędnik w Salonice.
15) Izydor Radziwonowicz, inżynier w Koniah.
16) Leopold Kozłowski, inżynier w Syrji.
17) Bolesław Holtz, inżynier w Serwicy.
18) Józef Gorowski, inżynier w Amasji.
19) Wincenty Ryży na kolonji Adampol.
20) Ludwik Kowaliński na kolonji Adampol.
21) Jan Baranowski, inżynier w Kastamuni.
22) Józef Wróblewski, szef stacji kolei żelaznej w Warnie.
23) Teodor Rajski w Niszu.
24) Franciszek Zembrzucki, inżynier w Rodosto.
25) Teodor Wańkowicz, inżynier w Angorze.
26) Józef Romer, inżynier w Angorze.
27) Piotr Bąkowski, doktór municypalności w Angorze.
28) Marjan Radziątkowski, inżynier w Siwas.
29) Ksawery Konarzewski, chirurg w Sonaa (w Jemenie).

Przegląd finansowy: Jak wiadomo panom, Towarzystwo uchwaliło na posiedzeniu z dnia 4 września 1885 roku loterję fantową złożoną z 1000 biletów, każdy bilet po franku i mającą 6 wygranych. Ciągnięcie tej loterji odbyło się dnia 21 lutego 1886 roku wobec licznie zgromadzonych, cudzoziemców różnej narodowości i członków Towarzystwa. Przed ciągnięciem prezydent prosił 3 cudzoziemców do zweryfikowania, czy wszystkie numery znajdują się w worku. Po takowej weryfikacji worek z biletami był dany w ręce księdza Mikołaja z kościoła św. Marji, a czteroletni syn doktora Czarkowskiego wyciągnął następujące numera:

№ 273 wygrał 1 los, № 928 — 2 los, № 248 — 3 los, № 725 — 4 los, № 512 — 5 los, № 834 — 6 los. Pięć losów wygranych oddano za pokwitowaniem osobom, które je wygrały, jak świadczą tu przedstawione bilety pokwitowane. Szósty los został się pod opieką prezydenta, bo osoba, która wygrała mieszka w Azji Mniejszej i nie zgłosiła się do dzisiejszego dnia z biletem — Towarzystwo zaś niewie jej adresu. Na przyszłem posiedzeniu Towarzystwo zechce rozsądzić co potrzeba zrobić z tym szóstym losem.

Rachunek z biletów loteryjnych:

Wydrukowano biletów 1000. Sprzedano przez ob.: Adama Michałowskiego 634, Józefa Ratyńskiego 124, doktora Fortunata Czarkowskiego 40, Feliksa Frankowskiego 48, Aleksandra Dewodzkiego 19, Augusta Tarnawskiego 10, ogółem 875. Przywłaszczone przez Feliksa Frankowskiego 93, niesprzedane i tu przedstawione 32, — razem 1000.

Rachunek z pieniędzy loteryjnych:

Zapłacono przez ob.: Adama Michałowskiego 634 fr., Józefa Ratyńskiego 124 fr., doktora Fortunata Czarkowskiego 40 fr., Feliksa Frankowskiego 48 fr. 65 c., Aleksandra Dewodzkiego 19 fr., Augusta Tarnawskiego 19 fr., — ogółem 875 fr. 65 c.

Za wydrukowanie 1000 biletów loteryjnych 17 fr., za sześć losów fantowych do wygrania 315 fr., za koszty pocztowe i rozesłanie biletów 8 fr., — razem 340 fr. Rozdano jako zapomogi: siostrze jednego członka zawotowane 17 stycznia 60 fr., panu Brzozowskiemu 15 fr., pannom Markwart sierotom po emigrancie z 48 roku 60 fr., zapomoga dla jednego członka obarczonego 8 dziećmi 60 fr., — razem 195 fr.; wpłynęło do kasy Towarzystwa 1590 piastrów 30 par czyli 340 fr. 65 c., — ogółem 875 fr. 65 c.

Zwracam uwagę Szanownych rodaków, że przeszło 700 biletów było kupionych przez cudzoziemców, oto jest pierwszy dowód szacunku i sympatji mieszkańców Państwa tureckiego dla naszego Towarzystwa.

Po dwóch listach nadzwyczaj uszczypliwych i bezsensownych, jako też po przywłaszczeniu 92 fr. 35 c., Feliks Frankowski został jednocześnie wykreślonym z Towarzystwa Polskiego na posiedzeniu z dnia 31-go stycznia 1886 r. na zasadzie artykułu 15 naszego statutu, a kwit jego na 15 piastrów dłużnych do Towarzystwa został spalony wobec członków zgromadzonych.

Z wielką radością muszę tu panom objawić, że od dnia 31-go stycznia 1886 roku ustały wszelkie niesnaski i nieporozumienia w Towarzystwie, a wszyscy członkowie żyli jako dzieci jednej matki połączone łańcuchem nierozerwalnym, łańcuchem zgody i jedności. Oto jest oczywisty tryumf naszego Towarzystwa i cel jego chociaż w części jest wykonanym.

Teraz następuje rachunek z pieniędzy, które wpłynęły do kasy Towarzystwa.

Przychód: 1 stycznia 1886 roku zostało w kasie, jak wskazuje 1-sze roczne sprawozdanie, 106 piastr. 20 par., odebranych z zaległych podatków z 1885 r. 25 piastr., jako wpisowe w r. 1885 wpłynęło do kasy 120 piastr., jako podatki miesięczne za rok 1886, razem 1145 piastr., za rok 1887 naprzód razem 110 piastr., jako dar: Jan Baranowski 3 piastr. 30 par, Franciszek Zembrzucki 2 piastr., Glimno 20 piastr., dar pana Hofmana ze Lwowa przysłany przez profesora Krystaniackiego, o czem świadczy list

z 25 lipca 1886 roku 285 piastr. — razem 310 piastr. 30 par, z loterji wpłynęło jak wyżej z rachunku loteryjnego powiedziano 1599 piastr. 30 par, — ogółem 4372 piastry.

Rozchód: Koszty pocztowe, papier i koperty przez cały rok 1886 według detalicznego rachunku zdanego na każdem posiedzeniu 60 piastr. 30 par; za 4 akcje kolei żelaznej zadecydowane na posiedzeniu 7 marca 1886 roku 783 piastr. 20 par; zapomoga Józefowi Michałowskiemu 216 piastr., zapomoga Hartmanowi dwoma razami 40 piastr., zapomoga familji Krupskiego 20 piastr., za wieniec dla zmarłego syna ob. Kowalskiego 74 piastr., na trumnę dla Fryderyka Wogla emigranta z 48 roku 216 piastr., zapomoga dla Wiszniewskiego 10 piastr., nabożeństwo żałobne za poległych braci w 1830 i 1831 roku 168 piastr., za drążek do chorągwi i za pomalowanie czterech drążków do czterech chorągwi 20 piastr., za 4 akcje kolei żelaznej 683 piastr., za służbę Józefowi Michałowskiemu w grudniu 20 piastr., zapomoga Józefowi Michałowskiemu na lekarstwo dla wyleczenia syna jego 20 piastr., zapomoga Józefowi Michałowskiemu na pogrzeb jego syna 120 piastr., — wydano ogółem 2451 piastr. 10 par; zostaje w kasie 1920 piastr. 30 par., razem 4372 piastry.

Rezultat: Na 6 stycznia zostało w kasie brzęczącą monetą 1920 piastrów 30 par, dziesięć akcji kolei żelaznej i mamy do odebrania zaległych podatków 485 piastrów.

Ten rachunek był zdany przez skarbnika, a weryfikowany przez prezydenta Adama Michałowskiego i obywatela Aleksandra Dewodzkiego w dniu 6-go stycznia 1887 roku, jak podpisy na kwitach sprezentowanych świadczą.

Szanowni Rodacy! przeglądając niniejszy rachunek tak loteryjny jak też kasowy, każdy z was przekona się, że w r. 1886 było dosyć dano na zapomogi, a mianowicie 195 franków z pieniędzy loteryjnych, a z kasy Towarzystwa 642 piastry, przeto Towarzystwo wypełniło swój obowiązek według artykułu 12 i 13 naszego Statutu, potrzeba istnienia takiego Towarzystwa każdemu z nas jest widoczna.

Na potrzeby Towarzystwa była wydana bardzo szczupła suma 174 piastry 30 par, a to można zawdzięczyć niektórym członkom którzy ponosili koszty ze swej kieszeni nie domagając się zapłaty z kasy.

Chorągiew Towarzystwa była ofiarowana przez Aleksandra Dewodzkiego, a uszyta i wyhaftowana przez jego siostrę panią Teofilę Buchyńską.

Serwetę dla zawinięcia druków należących do Towarzystwa ofiarowała pani Emilja Kowalińska z domu Dewodzka.

Koszty drukowania pierwszego sprawozdania i statutu ofiarowane były przez Adama Michałowskiego, w domu którego od dnia 21-go lutego 1886 r. odbyły się wszystkie posiedzenia.

Dzięki panu Emaneulowi Rossopoulo, cudzoziemcowi i nienależącemu do Towarzystwa, że wydrukował swoim kosztem kwity kasowe jako też nagłówki na listach Towarzystwa. Oto jest drugi dowód jak cudzoziemcy nas szanują i nam pomagają.

Pozwólcie panowie podziękować wobec przytomnych najprzód doktorowi Czarkowskiemu, że bezpłatnie udawał się z pomocą lekarską do niektórych chorych członków Towarzystwa; potem obywatelowi Wiktorowi Zabłockiemu, który przy swej codziennej pracy poświęcił się odbywać aż do 1-go grudnia 1886 roku wszystkie kursy, dzięki mu, że członkowie byli zawsze uwiadomieni o posiedzeniach i że sprawozdania są wpisane do wielkiej księgi.

Dzięki członkom zamieszkałym na prowincji za ich udział w naszej loterji; swemi listami zagrzewali nas do pracy i wzywali do wytrwałości, energji i rezygnacji w naszych rozmaitych nieszczęściach.

Porównywając rachunek tego roku z rachunkiem przeszłorocznym, każdy z panów zobaczy, że mamy w kasie pieniędzy dwa razy więcej, przeto stan finansowy Towarzystwa jest w stanie kwitnącym. Przykro mi tylko że tak wielką sumę mamy do odebrania zaległych podatków, kiedy przeszłego roku mieliśmy tylko 40 piastrów do odebrania, teraz na 6-go stycznia mamy do odebrania 12 razy więcej bo 485 piastrów. Znając dobrą chęć członków i ich poświęcenie, spodziewam się, że z wielką ochotą pośpieszą zapłacić swe zaległe podatki, tembardziej, że wszyscy widzą z rachunku ile dobrego Towarzystwo zrobiło w r. 1886 i jak było pomocnem w rozmaitych nieszczęściach.

Teraz podaję Panom wyciąg z ksiąg sprawozdań, to co było zdecydowane pod względem jurydycznym na posiedzeniach Towarzystwa 1886 r. Ten wyciąg będzie stanowić dalszy ciąg naszego regulaminu liczącego już 10 artykułów.

Artykuł XI. Wzbrania się każdemu członkowi pod karą wykreślenia z Towarzystwa polskiego rozpowiadać to, co się działo na posiedzeniu, nie tylko obcym osobom, ale nawet członkom Towarzystwa, którzy nie byli na posiedzeniu. (Uchwalono na posiedzeniu z dnia 31-go stycznia 1886 r.).

Art. XII. Podczas losowania sekretnego, na przyjęcie do Towarzystwa nowego członka, jeśli będą dwie czarne gałki, to przyjęcie kandydata jest zawieszone, a członkowie którzy rzucili czarną gałkę, powinni pod słowem honoru powiedzieć prezydentowi dla jakiej przyczyny wotowali przeciw nowowstępującemu. Towarzystwo osądzi tę przyczynę ale prezydent nie powinien wymieniać nazwiska osoby, która wrzuciła czarną gałkę. (Uchwalono na posiedzeniu z 31-go stycznia 1886 r.).

Art. XIII. Każdy członek, który będzie wykreślony z Towarzystwa, lub też jeśli sam zechce wyjść z Towarzystwa, niema prawa potrzebować zwrotu wniesionych przez niego pieniędzy do kasy Towarzystwa jako wpisowe i podatkowe, nie będzie

należeć do podziału wygranych losów kolei żelaznej, ani nie będzie miał żadnego prawa do otrzymania zapomogi z Towarzystwa. (Uchwalono na posiedzeniu z dnia 31-go stycznia 1886 r.).

Art. XIV. Prezydent ma prawo, bez zwołania Towarzystwa, dać w razie potrzeby jako zapomogę najwięcej 40 piastrów przez 15 dni. (Uchwalono na posiedzeniu z dnia 21-go marca 1886 roku).

Art. XV. Każdy członek, który chce wyjść z Towarzystwa, jest obowiązanym dać swoją dymisję listownie i zapłacić wraz do kasy Towarzystwa zaległe podatki. (Uchwalono na posiedzeniu z dnia 4-go kwietnia 1886 r.).

Art. XVI. Każdy członek, który nie zapłaci swych zaległych podatków do 28-go listopada 1886 roku, to w razie wygranej 1-go lub 2-go losu kolei żelaznej nie będzie należeć do podziału ogólnego. (Zdecydowano dnia 1-go października 1886 roku).

Art. XVII. Obiera się jednego członka z Towarzystwa, który będzie spełniać obowiązek: roznoszenia listów komitetu do członków i odbywać wszelkie kursy niezbędnie potrzebne, a za jego pracę będzie miał miesięcznie 20 piastrów. (Uchwalono na posiedzeniu z dnia 28 listopada).

Przed zakończeniem tego sprawozdania muszę Panom powiedzieć, że w 1886 roku nie opuściliśmy żadnej okazji by zgromadzić się razem w grono przyjacielskie i dać znak życia towarzyskiego.

Pierwsze zgromadzenie familijne odbyło się na Wielkanoc w domu Adama Michałowskiego, gdzie przy skromnem święconem podaliśmy sobie bratnią rękę i przyrzekliśmy uroczyście zgodę, jedność, miłość, jako też zapomnieć wszelkie urazy osobiste. Przy tej okazji prezydent miał mowę i zaproponował trzy toasty, a mianowicie: 1-szy toast za zdrowie sułtana, jego familji, jako też za pomyślność Państwa tureckiego, w którem znaleźliśmy gościnność, sympatję dla polaków i rozmaite urzędy tak cywilne jak wojskowe. 2-gi toast ob. Adam Michałowski podniósł za zdrowie Polek, które wiele przyczyniły się do utrzymania i rozwoju naszego Towarzystwa. 3-ci toast za zdrowie cudzoziemców, którzy chcieli być przytomni tej ceremonji narodowej. Zakończono tę ceremonję kilkugodzinnemi tańcami i śpiewami narodowemi.

Obchód żałobny za poległych braci naszych w roku 1830 i 1831, odbył się bardzo pięknie i poważnie w kościele Św. Marji 2-go grudnia wobec licznie zgromadzonych cudzoziemców, którzy zawsze przy każdej okazji starają się pokazać swą sympatję dla polaków. Tegoż samego dnia po kościele członkowie Towarzystwa zebrali się w domu Adama Michałowskiego i przy skromnem śniadaniu, wobec zaproszonych cudzoziemców, podniesiono toast za zdrowie sułtana i jego familji, 2-gi toast za zdrowie naszego wice-prezydenta Jana Komadzińskiego, emigranta z 1831 r. ogólnie szanowanego, 3-ci toast za pomyślność

i rozwój naszego Towarzystwa. Pióro moje nie jest zdolne do opisania entuzjazmu, z jakim były przyjęte te trzy toasty. Nakoniec i to zebranie według zwyczaju polskiego było zakończone śpiewami i tańcami narodowemi.

Po krótkiem wyszczególnieniu wszystkich czynności naszego Towarzystwa, proszę Panów mnie powiedzieć, czy można było lepiej postawić nasze Towarzystwo w czasie ogólnej biedy i kryzysu, wobec rozmaitych i bardzo dotkliwych nieszczęść, które spotykały większą część członków; i wobec pokątnych krytyk i intryg osób nie należących do Towarzystwa?

Proszę nie zapomnieć, że nasze Towarzystwo liczy zaledwie dwa lata istnienia. Zapewne, można jeszcze więcej zrobić, lecz potrzeba większego poświęcenia się wszystkich członków ,bez wyjątku, częściej zbierać się na posiedzenia i mieć więcej członków w Towarzystwie.

Dla większego rozwoju naszego Towarzystwa proszę Panów (według listu Towarzystwa pracujących polaków w Paryżu) niech od dzisiejszego dnia będzie naszem hasłem: „Pracuj i broń się, a trzymaj się gromady"; ja z mej strony proponuję wypisać na naszej chorągwi: „Zgoda, jedność i poświęcenie się dla dobra ogólnego", a wyrażając się w kilku słowach powiedzmy: Jeden dla wszystkich, a wszyscy dla jednego.

Teraz po zdaniu tego sprawozdania, przystępując do nowych wyborów, składam w ręce Wasze mandat prezydenta mnie powierzony, dziękuję Wam za Wasze zaufanie i współpracownictwo i najusilniej upraszam wotować na ludzi zdolnych i pełnych poświęcenia, którzy nietylkoby podtrzymali, lecz też jeszcze lepiej rozwinęli nasze Towarzystwo, abyśmy byli godni tego szacunku, jaki słusznie uzyskaliśmy od rodaków naszych w Galicji, od emigracji polskiej w Paryżu i w Genewie, jakoteż od mieszkańców Państwa tureckiego.

Konstantynopol, dnia 16 stycznia 1887 roku.

Prezydent: Adam Michałowski.

Przy tej okazji zawiadomiono, że na posiedzeniu z dnia 16 stycznia 1887 roku odbyły się przez wota sekretne wybory na rok 1887: na prezydenta został wybrany Adam Michałowski, wice-prezydenta doktór Fortunat Czarkowski, sekretarza Aleksander Dewodzki, skarbnika Jan Komadziński.

Ze sprawozdań powyżej podanych widać, że „Polskie Towarzystwo wzajemnej pomocy i dobroczynności w Konstantynopolu" zawiązane w r. 1885 i 6 słabo się rozwijało i niewielu stosunkowo posiadało członków, przeważnie miejscowych kupców i rękodzielników, ze sfer demokratycznych. Natomiast dom polski państwa Groplerów w Bebeku skupiał w sobie sfery arystokratyczne.

Dyrekcja warszawska fabryki naszej, w jednym z większych transportów towaru, przesłała dla magazynu w Konstantynopolu

w osobnej skrzyni piękne litery wypukłe złocone, do których kazałem zaraz dorobić wielką tablicę podłużną, pomalowaną olejno na kolor jasnozielony, i przyśrubować owe litery stanowiące okazały szyld firmy: *Joseph Fraget de Varsovie.* Szyld przybity nad głównemi drzwiami frontowemi magazynu od strony Placu Tunelu świetnie się przedstawiał.

Na początku marca 1887 r. napisałem obszerny list do Ma, z dokładną instrukcją przyjazdu przez Brześć nad Bugiem i Odessę, z poleceniem wysłania stamtąd kablogramu o dniu przybycia do Konstantynopola. Ma, po wyrobieniu sobie pasportu zagranicznego, wyruszyła w drogę z sakwojażem ręcznym z dworca terespolskiego na Pradze, gdzie zawiadowcą był p. Feliks Czaplicki brat jej szwagra, i ułatwił jej wygodne ulokowanie się w przedziale damskim. Odessę znała Ma już dawniej, gdy była na Ukrainie nauczycielką dwóch córek państwa Borkiewiczów w wielkim dworze polskim, skąd jeżdżono po zakupy książek, nut i różnych sprawunków do Kijowa i Odessy. Tam też zatrzymała się w tym samym „Hotelu europejskim" gdzie ja stałem poprzednio, i wysłała kablogram przez portjera o wyjeździe parowcem Towarzystwa ruskiego żeglugi „Carewicz", który miał przybyć do Carogrodu w niedzielę rano 20-go marca.

Wczesnym rankiem owego dnia udałem się do „Hotelu peszteńskiego". Z jego portjerem i nadkelnerem polakiem wypłynęliśmy szalupą hotelową z bulwaru nadmorskiego na spotkanie odeskiego parowca. Pogoda była słoneczna, ciepło miłe wiosenne. Wkrótce przybił do portu nasz statek, i zarzucił kotwicę. Na górnym pokładzie parowca ujrzałem Ma stojącą w płaszczu podróżnym, z woalem błękitnym rozwianym przez wietrzyk, wpatrzoną z zachwytem w majestatyczny widok Stambułu, ów najpiękniejszy widok w świecie...

Z portjerem hotelu zawczasu, zaraz po opuszczeniu schodków parowca, weszliśmy szybko na pokład. Przez tłum dotarłem do Ma, i położyłem rękę na jej ramieniu. Odwróciła się jakby ockniona z marzenia i powitała mię radośnie. Przeczekaliśmy nieco rozgwar debarkowania licznych pasażerów, i po swobodnych już schodkach zeszliśmy do hotelowej szalupy. Po zwykłym przeglądzie pasportów i bagaży na wybrzeżu Komory celnej, wsiadłem z Ma do otwartego powozu, i szparko ruszyliśmy wprost do mego mieszkania na ul. Bujuk-Hendek.

Ma zdjęła płaszczyk, kapelusz i rękawiczki; ułożyłem ją na otomanie, aby wypoczęła swobodnie po trudach dalekiej podróży. Prosiłem aby mi opowiadała wszystko o Warszawie i o drodze przebytej szczęśliwie, a sam tymczasem wziąłem się do przyrządzenia śniadania. Na maszynce naftowej zrobiłem naprędce angielski hamendegs t. j. szynkę serbską z jajami kładzionemi na talerzach emaljowanych, na świeżem maśle polskiem z Adampola. Na wodzie wrzącej z buloara zaparzyłem wyborną kawę arabską Yemen, mieloną w domu na młynku tureckim drobno

jak kakao. W końcu zagrzałem śmietankę przyniesioną rano przez mego mleczarza bółgara. Swieże pieczywo z bielutkiej mąki rumuńskiej tak zwane bułki ambasadorskie, maselnicę, filiżanki i łyżeczki perskie ustawiłem na stole jadalnym. Jedząc opowiadaliśmy sobie o wszystkiem.

Ma wypocząwszy jeszcze nieco po śniadaniu, prosiła abym ją zaprowadził do kościoła na nabożeństwo niedzielne. Poszliśmy na Wielką ulicę Pera do kościoła parafjalnego N. Panny Marji na sumę. Stamtąd na obiad do pobliskiej restauracji Janniego, a potem do domu na poobiednią herbatę.

Przez nasze okna, zastawione różami kwitnącemi i pelargońjami barwnemi, słońce dogrzewało już nadobre. Wczesna wiosna po marcowych krupkach i deszczach ciepłych rozbudziła roślinność. Gaje cyprysów starych na sąsiednich odwiecznych cmentarzach tureckich napełniały powietrze subtelnym aromatem żywicznym. Pobliski ogród miejski przy ulicy Kabristan (tak zwany Jardin municipal des Petits Champs) zazielenił się już bujnie. Więc wkrótce po naszej herbacie poobiedniej zebraliśmy się tam na przechadzkę, a zarazem na koncert wieczorny tamtejszej orkiestry Teatru letniego. Po kolacji w restauracji ogrodowej wróciliśmy wcześnie do domu, aby Ma wypoczęła zupełnie po trudach podróży.

Nazajutrz nasz mleczarz stary bółgar przyniósł raniutko dwa litry świeżego mleka. Ma wstała wcześnie i razem wypiliśmy śniadanie. Wkrótce potem o godzinie 8-ej poszedłem jak zwykle do magazynu. Pan Juljan wystawy wszystkich okien odświeżył nowo nadesłanemi z Warszawy pięknemi wyrobami. Dawne powyjmowane służący oczyścił starannie z pyłu, i poustawiał w szafach odpowiednich.

Po kilku zwykłych sprzedażach pomniejszych przed południem, zajechała przed nasz magazyn kareta, zaprzężona w parę pięknych koni karych, ze stangretem i lokajem w liberji. Wyszedł z niej pan wysoki, w czarnym cylindrze i smokingu, w średnim wieku z bokobrodami, i obejrzał wystawy w oknach frontowych. Nasz służący Hamparzum szepnął mi:

— Monsieur, c'est comte Nelidow, ambassadeur russe, i poszedł mu drzwi roztworzyć szeroko.

Ambasador powitał nas uprzejmie po francusku, pochwalił nasze świetne wystawy, życzył powodzenia, i poprosił o pokazanie mu kilku par dużych kandelabrów stołowych. Pan Juljan ze służącym ustawili na moim długim kontoarze cały szereg najpiękniejszych fasonów, a ja objaśniałem ceny. Hrabia wybrał dużą parę pięcioramienną, zapłacił złotem; Hamparzum zręcznie zapakował kandelabry i odniósł za nim do karety.

W parę dni potem przybył do naszego magazynu także sekretarz główny Ambasady ruskiej, człowiek młody, przystojny szatyn, z żoną damą bardzo piękną, wytwornie ubraną w gu-

stowny kostium wiosenny. Po obejrzeniu kilku serwisów herbacianych, wybrano jeden; pan sekretarz płacąc polecił odesłać pakiet do pałacu Ambasady i oddać portjerowi, co też zaraz nasz służący wykonał.

W jakiś czas odwiedził też nasz magazyn pułkownik Peszkow, attaché wojskowy ambasady ruskiej, człowiek młody jeszcze, wysoki brunet, w płaszczu popielatym z peleryną, w czapce z lampasem czerwonym. Kupił dużą papierośnicę wyzłacaną wewnątrz. Mówił ze mną po polsku, gdyż poprzednio przez parę lat przebywał w Warszawie. Wyjął z portfelu ładną fotografję gmachu, w którym mieścił się nasz magazyn i ofiarował mi, mówiąc że to jego własne zdjęcie. Przytem odwróciwszy się wyłącznie ku mnie, odpiął mundur pod szyją i pokazał duży czarny krawat, w którym ujrzałem ze zdziwieniem mały objektyw fotograficzny od aparatu ukrytego pod krawatem. Śmiejąc się powiedział pocichu, że w ten sposób nieznacznie robi jadąc parowcem zdjęcia fotograficzne fortyfikacji tureckich Bosforu i in., do swoich sprawozdań służbowych strategicznych. W późniejszym czasie podczas powstania greków na wyspie Krecie przeciwko turkom, jak czytałem w gazetach, pułkownik Peszkow był głównodowodzącym eskadry wojennej ruskiej i wojsk stanowiących jej załogę.

Przy Placu Tunelu, pomiędzy naszym magazynem a Dworcem kolei od strony zachodniej, mieścił się duży gmach Magistratu czyli t. zw. Municypalności Pery, z frontem od strony przeciwnej przy ulicy Kabristan. Prezydentem Pery był Black-bey, z pochodzenia anglik, jak to samo nazwisko wskazuje (black po angielsku znaczy czarny), człowiek tęgi, wysoki barczysty, już siwiejący, wygolony, w surducie czarnym i fezie czerwonym na głowie, z laską w ręku podpierając się podszedł raz do naszych wystaw i przypatrywał się im pilnie.

— Monsieur, c'est Black-bey, president de Péra — objaśnił mię nasz służący Hamparzum, poszedł otworzyć drzwi wchodzącemu i podsunął mu krzesło. Prezydent usiadł i poprosił o pokazanie mu serwisów obiadowych. Pan Rupp ze służącym ustawili na stołach zestawy różnych fasonów, a ja objaśniałem ceny po francusku. Ostatecznie prezydent wybrał piękny serwis gładki platerowany, sztuk kilkanaście: dużą wazę z łyżką wyzłacaną, kilka półmisków różnej wielkości, owalnych i okrągłych, sosjerę, kompotjerę, solniczki, łyżki, noże i widelce półmiskowe, oraz piękną tacę. Prezydent wychodząc poprosił, aby mu to wszystko odesłać zaraz do biura sąsiedniego wraz z rachunkiem. Pan Rupp wypisał notę, a Hamparzum opakował naczynia lekko. Ja chcąc otrzymać należność poszedłem razem ze służącym do biura Magistratu, i wprost do gabinetu prezydenta. W dużym pokoju siedział już w fotelu Black-bey rozmawiając z dwoma młodymi urzędnikami. Poprosił aby mu wszystko rozpakować i rozłożyć na dużym stole bocznym, dla pokazania obecnym.

Oddając rachunek poprosiłem o wypłatę, lecz otrzymałem odpowiedź, aby zgłosić się za parę dni. Trudno było odmówić, i dopiero po kilku dniach udało mi się zrealizować należność. Wychodząc na drugą stronę pałacu Municypalności, przeszedłem przez wielką salę biura, przedstawiającą bardzo oryginalny widok. Na kilkudziesięciu dużych fotelach grugo wyściełanych, młodzi urzędnicy w fezach czerwonych siedzieli po turecku z nogami skurczonemi pod siebie, pisząc na kolanach; kałamarze i zarazem piórniki długie mosiężne mieli zatknięte za pas. Prawie wszyscy palili papierosy, puszczając gęste kłęby dymu. Ha! pomyślałem — co kraj to obyczaj, i milcząc wróciłem do naszego magazynu...

Podrodze kupiłem świeży numer dziennika „Phare du Bosphore" za 20 para od sprzedawcy ulicznego gazet francuskich, angielskich, greckich, tureckich i armeńskich miejscowych. Dyrektorem politycznym czyli redaktorem „Phare du Bosphore" był podówczas grek E. Kyriakopulo, a redaktorem odpowiedzialnym wobec cenzury rządowej tureckiej i zarazem administratorem armeńczyk Z. Jussufjan. Dziennik ten, formatu wielkiego arkusza o 4-ch stronicach, podawał naczele najświeższe sprawozdania polityczne i telegramy, obszerną kronikę miejscową, nowiny zagraniczne, sprawozdania teatralne i muzyczne, rozmaitości, nowiny finansowe i handlowe, kursy giełdowe miejscowe i zagraniczne, kursy główne morskie parowców osobowych i ruch pociągów kolejowych, wreszcie w odcinkach zwykle dwie powieści; nakoniec mnóstwo ogłoszeń rozmaitych wielkich i drobnych. „Phare du Bosphore" był jednym z najdawniejszych dzienników carogrodzkich, r. 1887 liczył już lat XIX-cie. Roznosiciel gazet przynosił mi go zwykle do magazynu codzień przed południem.

Od przachodzącego koło magazynu winogroniarza kupiłem kilo przepysznych „czauszów" czyli wielkich winogron soczystych i słodkich. Nazwa ich pochodzi stąd, że sułtan ze swoich winnic rozsyła je w podarku niektórym dygnitarzom, przez posłańców zwanych czauszami. Roznosiciele winogron, zwani po turecku „juzundżi", obwołują swój towar wołając „juzun! juzun!!" co znaczy winogiona. Z świeżym dziennikiem i pakietem winogron na deser poszedłem jak zwykle w południe od 12-ej do 1-ej do domu na obiad, przy którym opowiadałem Ma o najświeższych nowinach dnia.

Wieczorem, po zamknięciu magazynu, służący nasz przy uchylonych storach drzwi spożywał swoją kolację. Ja szedłem zaraz do domu na herbatę, poczem wychodziliśmy z Ma na przechadzkę lub do pobliskiego ogrodu miejskiego na koncert orkiestry miejscowej.

W sezonie zimowym i wiosennym czynne były na Pera: Teatr francuski, Opera włoska i Teatr Verdi grecki. Dawano w pierwszym komedje i operety w rodzaju „Le grand Mogol"

z muzyką Audran'a. W teatrze włoskim opery: "Aidę" Verdi'ego, „Cyrulika sewilskiego" Rossiniego, także „Fausta" Gunoda i in.; w teatrze greckim trupa helleńska wystawiała dramaty oryginalne i tłomaczone (między innemi „Żyda wiecznego tułacza" w 20-tu aktach przez cztery wieczory ciągiem. Widowiska w teatrach owych zaczynały się późno wieczorem i późno się kończyły. Więc rzadko tylko bywaliśmy w nich zwykle w sobotę, aby w niedzielę można było wypocząć dłużej. W teatrze letnim w Ogrodzie miejskim dawała też przedstawienia przejezdna trupa żydowska. Poszliśmy tam raz z Ma przez ciekawość. Sala była pełna i duszna, a wpośród publiczności złożonej prawie z samych żydów — odór czosnku i cebuli był tak silny i nieznośny, że po pierwszym akcie jakiejś lichej operetki musieliśmy coprędzej uciec na świeże powietrze...

W dnie słotne, podczas deszczu wieczorem zostawaliśmy w domu. Po kolacji Ma zwykle szyła co dla siebie lub naprawiała i odświeżała, gdyż znała się na kroju i robiła sobie sama bardzo gustowne kapelusze; potem czytała świeże gazety i nowe powieści z czytelni. Ja zasiadałem przy biurku do głównej mojej pracy: historji powszechnej dziennikarstwa, której rękopis zatytułowałem „Literatura perjodyczna i jej rozwój". Na biurku i obok na stołkach rozkładałem mój bogaty materjał odnośny, zebrany w podróżach moich na Wschód, na Zachód, oraz na Wystawie międzynarodowej czasopism urządzonej przeze mnie w Nicei w r. 1885. Jednego wieczora przy świetle lampy stołowej ujrzałem na brzegu mego biurka dużego skorpjona czarnego, jak z zadartym wgórę ogonem śpiczastym szedł ku mojej lewej ręce opartej o książkę. Przygniotłem go osadką od stalki, a drugą ręką przebiłem długą szpilką i umocowałem w pudełku od zapałek, zadawszy pierwej parę kropel nafty dla otrucia. Nazajutrz rano opowiedziałem o tem naszemu gospodarzowi p. Klajnerowi. Objaśnił mię, że skorpjony czarne trafiają się czasem w piwnicach domów, skąd po murach wędrują na piętra wyższe i przez okna otwarte włażą do pokojów. Ów gatunek czarny europejski, jaki spotykałem na Rivjerze francuskiej, jest mniej niebezpieczny od zielonego egipskiego, którego ukłucie może być śmiertelne. Przy sposobności przestrzegł mię p. Klajner, że na targach rybnych na Galacie sprzedają między innemi rybami także gatunek rybek czarnych grubych, długości około ćwierć łokcia, zwanych po grecku skorpidia, pokrytych zrzadka kolcami, których ukłucia w ręce przy skrobaniu i oprawianiu powodują spuchnięcie dłoni, a nawet przedramienia. Zachować należy wielką ostrożność, i przytrzymywać owe rybki widelcem, nie dotykając rękami. Po starannem zdjęciu skóry i ugotowaniu lub usmażeniu skorpidia nie są szkodliwe.

Idąc ulicą Bujuk-Hendek od mego mieszkania do wieży Galaty dochodziło się u stóp jej do ulicy Perczembe-bazar, biegnącej stąd pochyło na południe aż do wybrzeża Złotego Rogu.

Tam znajdował się Piątkowy targ ryb, tak zwany Perczembe-Bazar („perczembe" po turecku znaczy piątek). Przy wolnym czasie w niedzielę zachodziłem tam niekiedy po zakup ryb. Brałem zwykle rużety (rougets) jako delikatne i smaczne smażone na maśle. W porze zimowej i wczesną wiosną za chłodu na tymże targu, serbowie przyjezdni sprzedawali na długich stołach przepyszną wieprzowinę, podobną do dzika, ciemnoczerwoną ze świeżutką słoniną białą. Wielkie transporty tego mięsiwa dowożono tu Dunajem i morzem wprost z Serbji, gdzie chodowla wieprzy prowadzi się na wielką skalę w lasach bukowych, na świeżem powietrzu bardzo czysto i hygjenicznie.

Inne gatunki mięsa, jak: baraninę, wołowinę, cielecinę, sprzedają tam w sklepach czyli jatkach grecy, a także roznosiciele uliczni w koszach wcześnie z rana.

Codzień już od świtu zaczyna się ruch tych przekupniów ulicznych, przeważnie turków i armeńczyków, którzy obwołują głośno swój towar.

Najprzód najwcześniej z rana idą nosiwody, wołając: „su! su!! sudżi!" (co po turecku znaczy: woda! woda! wodziarz!). Wodę noszą na plecach, w konwiach z grubej skóry nieprzemakalnej, przewieszonych na pasku rzemiennym przez ramię. Nosiwoda, przywołany do progu domu, nalewa ze swej konwi przez kranik do wiaderka lub dzbana wodę czerpaną świeżo z wodociągów miejskich.

Później nieco kroczą liczni mleczarze, krzycząc: „sut! sut! sutdżi!" (mleko, mleko, mleczarz!). Z blaszanek czystych nalewają w sieniach parterowych domu mleko do naczyń w ilości żądanej. Niektórzy na zamówienie przynoszą stale codzień mleko do mieszkania. Nam dostarczał wyborne świeże mleko znajomy bółgar.

Potem znów idą ulicami liczni bułczarze, wołając: ekmek! ekmek!! ekmekdżi! (chleb, chleb, chlebiarz!) z różnego rodzaju pieczywem, w koszach branych wprost z piekarni.

Mięso i drób' oskubany czysto i oprawiony bez wnętrzności (z wątróbkami i żołądkami pod skrzydłem) roznoszą przeważnie grecy, wołając: wodino kreas! albo: ornites! ornites! (co po grecku znaczy: wołowe mięso, ptactwo). Zwykle osobno roznoszą baraninę turcy. Z drobiu dostarczane są: kapłony, kury i gołębie; czasem ptactwo dzikie, a mianowicie derkacze (z wołaniem po grecku: derkaczes!).

Jaja roznoszą jajczarze z okrzykiem: jumurta! jumurta!! jumurtadżi! Drudzy masło i sery.

Inni przekupupnie roznoszą zwykle z rana i przed południem różne jarzyny: pietruszkę, marchew, buraki, selery, cebulę, czosnek, sałaty różne, szparagi, karczochy, pomidory, ogórki itp.

Owoce i winogrona roznoszą też osobni przekupnie. Jabłkarze wołając: elma! elma!! elmadżi! (jabłka, jabłkarz!), wi-

nogroniarze: juzun! juzun!! juzundżi! (winogrona, winogroniarz!). W porze właściwej sprzedają w cerwcu przepyszne czereśnie białe, czerwone i czarne, później wczesne gruszki, arbuzy, melony, ananasy i t. p. Wyborne są jabłka zwane „amasja" od miasta z okolic Amasji w Azji mniejszej, duże czerwone, kruche, soczyste, smaku winnego (podobne do australskich lub kalifornijskich).

Po południu zwykle roznoszone są kwiaty różne cięte i rośliny pokojowe w doniczkach, z okrzykiem: cziczek! cziczek!! cziczekdżi! (kwiaty, kwiaty, kwiaciarz!). Ci ogrodnicy niekiedy oszukują w ten sposób, że przywiązują nieznacznie nitkami zielonemi ładne kwiatki do gałązek roślin doniczkowych jeszcze niekwitnących, a napozór jakby osypanych kwiatami (np. fuksje, heljotropy i t. p.) co zwykle spostrzega się poniewczasie gdy przekupień już odszedł daleko.

W upały w lecie przekupnie roznoszą lody owocowe, pomarańcze i cytryny do limonady, a także lód czysty w kawałkach dla chłodzenia wody w karafkach.

Wieczorem na kolację roznoszą mleko zsiadłe ze śmietaną w wazkach kwartowych porcelanowych, ale nie surowe lecz obgotowane, krzycząc: jaurt! jaurt!! jaurtdżi! Także obwarzanki posypane makiem lub simitem, wołając: simit! simit!! simitdżi!

Zaś przez cały dzień od rana do nocy kawiarze roznoszą czarną kawę, którą gotują na poczekaniu świeżą na piecykach z węglami zawieszonych na jednym końcu nosideł przewieszonych przez ramię; na drugim końcu mają w pudle filiżanki, spodki, łyżeczki, małe rondelki, kawę miałką, cukier i wodę. W rondelku wielkości filiżanki zagotowują wodę na wrząco, sypią łyżeczkę kawy bardzo miałkiej jak mąka, poczem nalewają do filiżanek i na spodeczkach podają na ulicy, do sklepów lub do mieszkania. Turcy piją tę kawę zwykle bez cukru, europejczycy słodzoną (szekerli, po turecku cukier: szeker). Okrzyk: kafe; kafe!! kafedżi! nieustannie słychac na ulicach. W sklepach przy większem kupnie i targu kupcy turcy wołają kawiarzy przechodzących i częstują kupujących świeżą kawą dla dobicia targu.

Przez okna lub lufciki otwarte na przekupniów woła się: gel! gel burda! (co znaczy po turecku: chodź, chodź tutaj!).

Nawet na sklepikarzy pobliskich, zwykle greków, przez lufciki wołają: bakali! bakali!! Czujny subiekt słucha kto go woła, czego żąda, i wkrótce przynosi do mieszkania co potrzeba w ilości żądanej zawinięte w papier: cukier, kawę, mąkę, ryż, cytryny, wino i t. p.

Nawet w nocy ulica w Konstantynopolu i wogóle na Wschodzie żyje i czuwa nieustannie. Gdy się ściemni stróże nocni, obchodząc swoje rewiry, wybljają o bruk grubemi pałkami godziny wieczorne i nocne aż do świtu, na znak że nie

śpią. A niekiedy, jak to już nadmieniłem poprzednio, płynie w powietrzu jakby ponury ich śpiew skandowany, zwiastując pożar w tej lub innej dzielnicy: Jangen war! Stambul da!! albo: Galata da! powtarzany coraz dalej wokoło od stróża do stróża aż do ostatnich przedmieść. Przy tem słychać tupot oddziałów strażaków bosych, z sikawkami małemi na ramionach, z wężami płóciennemi do nich, oraz innemi narzędziami, śpieszących na miejsce pożaru. Nocą też tu i owdzie, przez okna oświetlone lecz zasłonięte szczelnie, słychać stłumioną muzykę w domach publicznych lub śpiew wesołych cór Wenery...

W pochmurny słotny dzień na początku kwietnia, zaraz po herbacie domowej pojechałem tramwajem na Galatę, odwiedzić prezesa Polskiego Towarzystwa dobroczynności p. Michałowskiego. Mieszkał w domu własnym, wąskim dwupiętrowym, którego okno parterowe było oświetlone. Zakołatałem antabą brązową w żelazne drzwi, które otwarła wkrótce gospodyni pani Kowalska i poprosiła mię na I piętro. P. Michałowskiego zastałem w jego gabinecie przy biurku oświetlonem lampą wiszącą nad stosem papierów i gazet, które pilnie przeglądał. Zasiadłem zaraz obok, i w dłuższej rozmowie otrzymałem bliższe informacje o miejscowej kolonji naszej i o stowarzyszeniu polskiem, którego dostałem regulamin świeżo wydrukowany. Przy pożegnaniu prezes zaprosił mię do siebie na doroczne zebranie rodaków na wspólne święcone w pierwsze święto Wielkiejnocy 10 kwietnia 1887 r. w południe. Korzystając z tego zaproszenia udałem się tam z moim pomocnikiem p. Juljanem Ruppem. Zastaliśmy już kilkadziesiąt osób, przeważnie mężczyzn. Po przemówieniu okolicznościowem prezesa i wyrażeniu życzeń świątecznych zebranym, zostaliśmy z kolegą przedstawieni obecnym, jako dwaj rodacy nowoprzybyli do Konstantynopola. Wśród ożywionej rozmowy, poznałem się tam bliżej z doktorem Czarkowskim wiceprezesem Towarzystwa polskiego, z p. Dewodzkim sekretarzem tegoż, oraz innymi członkami, mianowicie z p. Tarnawskim introligatorem i z p. Kowalskim tapicerem. Ten ostatni zaprosił mię z kolegą do siebie na wieczór. Wybraliśmy się tam wkrótce zaraz po zamknięciu naszego magazynu, najbliższym tramwajem. Piękny dom p. Kowalskiego znalezliśmy z łatwością. Gospodarza zastaliśmy z rodziną na parterze w jadalni. P. Franciszek Kowalski ożenił się z bogatą greczynką właścicielką dużego domu, i w otoczeniu jej rodziny zhelenizował się zupełnie razem z dziećmi swojemi. Mówił już bardzo słabo po polsku, i w rozmowie ze mną używał języka francuskiego. Po kolacji przeszliśmy na I piętro do salonu. Urządzony był z komfortem i bardzo elegancko, lecz wcale nieogrzany i zimny podczas wczesnej wiosny. Więc po krótkiej rozmowie, wobec znacznej odległości naszych mieszkań, pożegnaliśmy uprzejmych gospodarzy i wróciliśmy do domu pieszo szybkim krokiem dla rozgrzania się.

Po świętach wielkanocnych nastały ciepłe dni kwietniowe. W pogodne wieczory chodziliśmy z Ma zwykle na koncerty w pobliskim Ogrodzie miejskim, lub na dalsze przechadzki na bulwary nadmorskie. W dnie słotne pracowałem w domu gorliwie nad moją historją dziennikarstwa, której rękopis posuwał się szybko naprzód.
